KASZËBË

ORGAN ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA KASZUBSKIEGO

ROK II Nr 4(11) GDAŃSK 16 – 28.II.1958 R. CENA 2 ZŁ

Inż. Kazimierz Kalubec

Co słychać w dolinie rzeki Łeby?

W Przeglądzie Polskim z roku 1883 w pracy H. Derdowskiego pt. „O Kaszubach" czytamy:

„W dzisiejszej Pomeranii, trzy mile na zachód od Słupska miesz kają niezniemczone resztki kaszubskiego szczepu Kabatków, wpartego przez Niemców między bagniste jeziora Gardneńskie i Łebskie. Kabatkowie są odłącze ni od reszty braci, mieszkających dalej na wschód, czteromilową zupełnie już zniemczoną przestrzenią; osady ich tworzą więc słowiańską wyspę etnograficzną".

Dzisiaj wsie: Mała Gardna, Wy sokie, Kluki, Izbica i Gace nie stanowią już słowiańskiej wyspy etnograficznej. Pradawne tereny słowiańskie wróciły do Polski.

Większość wspomnianych wsi, położona jest przy ujściu rzeki Łeby do jeziora Łebsko. Łeba przepływa przez trzy powiaty ka szubskie: kartuski, wejherowski i lęborski. Dorzecze jej o powierz chni ca 1790 km² położone jest w całości na terenie Kaszub. Po niżej miasta Lęborka, tam gdzie dolina rzeki nagle rozszerza się i skręca z kierunku wschodniego na północny, znajduje się jeden z największych kompleksów łąkowych na Kaszubach, o powierz chni kilkunastu tysięcy ha.

Uzyskanie w tym rejonie maksymalnych efektów gospodarczych — dużej ilości siana — wią że się niewątpliwie z właściwym uregulowaniem stosunków wilgotnościowych, co było dotychczas rozwiązywane w sposób wa dliwy. Na przeszkodzie stała mię dzy innymi sytuacja geopolitycz na przed rokiem 1945.

Dorzecze Łeby stanowi zamkniętą jednostkę hydrologiczną. W okresie międzywojennym, kiedy na Łebie prowadzono duże roboty regulacyjne, dorzecze podzielone było na dwie części. Dolny bieg rzeki znajdował się na terenie Rzeszy, natomiast obszar akumulacji wody w górnym biegu, należał do Polski.

Przyczyną złego działania systemu melioracyjnego, wadliwie rozwiązanego, były trudności, jakie piętrzyły się na drodze prowadzenia właściwej polityki inwestycyjnej. Maksymalnemu odwodnieniu terenu groziło przesu szenie w latach suchych (łąki na torfach). Natomiast uzupełnienie niedoborów wodnych, możliwe je dynie przez wiosenne magazyno wanie wody w dorzeczu i spuszczanie jej w lecie, było niemożliwe, ponieważ wiązałoby się z prowadzeniem dosyć poważnych inwestycji wodnych, na terenie obcego państwa. Istniały więc obiektywne przyczyny, które utrudniały prowadzenie najbardziej skutecznych zabiegów melioracyjnych. W okolicy jezio ra Łebskiego powstały liczne bagna i torfy wysokie. Rozwią zania melioracyjne w dolnym i środkowym odcinku wielkiej doliny miały charakter lokalny.

Sytuacja na odcinku gospodarki wodnej w dolinie uległa radykalnej zmianie po roku 1945. Przywrócone zostały warunki jedności działa nia w polityce melioracyjnej, na

(Dokończenie na str. 2)

NA OSTATEK PODNIÓSŁ ZBROYNĄ RĘKĘ SWĄ NA POMORZANY, KASZUBIANY TO YEST NA SŁOWAKI, POTOMKI OWYCH BRACI STRUTYCH, KTÓRZY SIĘ JUŻ W NIEMCE OBRACALI...

(Marcin Bielski — Historia Polski-XVI w)

Bytów, Bytom, Bystrzyca... na samą tylko literę B, można by wymienić przeszło dwadzieścia miast. W sumie liczba ta jest większa — zamyka się w cyfrze 200. Tyle

Irena Piotrowska
Stanisław Pestka

właśnie naliczył dr Władysław Jan Grabski miast, które po kil kusetletniej przerwie, wróciły w 1945 roku do Polski. Cyfra, jak widać, duża. Proporcjonalnie do niej, historia naszego kraju powiększyła się o nowy bagaż dziejowy tych ziem.

Jeszcze do niedawna były to tereny, gdzie termin „Polska" pozostawał na indeksie urzędowym, a słowo „Polak" zabarwio ne było nutą pogardy. Rok 1945 położył kres tej dyskryminacji, przywracając Polsce to, co do niej powinno należeć od setek lat. Wróciły do nas Ziemie Zachodnie odsłaniając perspektywy nowej pracy gospodarczej i kulturalnej.

Miasto miastu nie równe. Niektóre z tych 200 zanotowanych miast, tak jak dawniej, są duży mi ośrodkami przemysłowymi, inne pozostały w tyle, powiększa jąc grono miejscowości, które los umieścił na marginesie życia.

JAK STARZY EMERYCI...

To właśnie jedno z nich zawędrowało na stronę tytułową. Na zywa się **SŁAWNO** i należy do rzędu miast, o których mówi się zaledwie w promieniu kilkunastu kilometrów. Raz w tygodniu ożywia się — gdy z pobliskich wsi zjadą chłopi na targ. Ma swoje przyjemności: kino, kilka ładnych wystaw. Czasami odwiedzą je niezwykli goście. Właśnie niedawno bawił jakiś cygański zespół. Od czasu do czasu zajrzy tu koszaliński teatr, lub miejscowe władze urządzą zabawę taneczną. W Powiatowym Domu Kultury zbiera się grupka młodzieży. Co robią? Piją kawę i grają w szachy.

Tak więc w Sławnie życie toczy się jak w większości małych miasteczek, których liczba miesz kańców nie przekracza 10 tys.

Miasta małe są jak starzy, schorowani emeryci. Mijające lata odsunęły w niepamięć ich dawną świetność, przynosząc w zamian bolesne przeżycia, które z czasem przerodziły się w letargiczną stagnację. Różnią się jednak tym od ludzi, że mogą dłużej przetrwać w takim stanie, mogą rów nież odżyć, o ile ktoś zatroszczy się o nie. Są tylko zbiorowiskiem domów, które zaludniają przypadkowi mieszkańcy i od ich dobrej lub złej woli zależą losy miasta.

Czy warto o nich mówić? Chy ba tak! Warto mówić szczególnie o tych, które po długiej przerwie znowu odzyskały polskie nazwy, dla których kartę w historii otworzyła przecież słowiańska metryka urodzenia. Znajdują się wśród nich i te, które ongiś zamieszkiwali nasi przodkowie Pomorcy-Kaszubi.

RODOWÓD NAZWY

Nie więcej niż 150 km od Gdańska, leży właśnie taki dawny słowiański gród warowny, obecnie miasteczko Sławno. W zamierzchłych czasach toczono o nie dynastyczne spory, teraz sławneński zamek leży w gruzach i służy za miejsce spotkań nocnych ptaków i okolicznej psiarni. O dawnej świetności tej osady, mogą świadczyć jedynie dwie zabytkowe bramy z XIV wieku, zbudowane w stylu, który popularnie określa się słowiańskim gotykiem. Z tego samego okresu pochodzi również kościół Wniebowzięcia Najśw. Marii Panny — dopiero niedawno odbudowany po znisz czeniach wojennych.

Skąd wywodzi się nazwa „Sławno"? — dociekało wielu uczonych. Dr Władysław Jan Grabski tak o tym mówi: *„Prastara to osada Słowian-Kaszubów o charakterystycznej nazwie, która tłumaczona na średniowieczną łacinę daje obraz trudności wymówienia i napisania nazwy „Słowianie" w językach europejskich. W najdawniejszych ze znanych nam dokumentów, w których figuruje nazwa miasta, w 1186 roku zapisano je jako „Zlauinia", czyli Sławinia, później w 1248 roku — „Slawo" i „Sclavena", w 1298 r. jako „Slauno", gdzie indziej jako „Zlauena", „Zlowe", „Sławe" etc. Prawdopodobnie miejscowość nazywała się ongiś po prostu Sława".*[1])

KSIĘŻNA SLAWINA

Zwolennicy legendarnego pochodzenia nazwy miasta, do których należą m. in. prof. dr E. Matthias[2]) i kronikarz Tomasz Kantzow, tłumaczą ją nieco inaczej. Ich zdaniem nazwa miasta Sławno, ma prawdopodobnie związek z księżną Slawiną, córką księcia Świętobora Pomorskiego (XII wiek), który w walce ze

1) Dr Władysław Jan Grabski „209 miast wraca do Polski".
2) Prof. dr E. Matthias „Historia miasta Sławna".

(Dokończenie na str. 2)

Każdy Kaszuba propaguje swoje pismo!

Ostatnia droga Wicka Rogali

Wspomnienie o kaszubskim pieśniarzu czytaj na str. 5.

Gdyńskie rzemiosło

NIEDAWNO odbyła się w Gdyni narada rzemieślników — członków Cechu Rzemiosł Różnych, i Cechu Metalowo - Elektryczno - Drzewne go. Inicjatorem zwołania tej roboczej konferencji gdyńskiego rzemiosła było Prezydium MRN. Na spotkanie przybyło ok. 500 rzemieślników, przewodniczący i wiceprzewodniczący MRN, przed stawiciele władz partyjnych i kie rownictwa Izby Rzemieślniczej w Gdańsku. W naradzie wzięli rów nież udział kandydaci rzemiosła gdyńskiego do MRN: Kaliszan, Gielniak, Wojciechowski i Nowa kowski.

Ciekawe zestawienia statystyczne dotyczące rozwoju rzemiosła gdyńskiego podał w swoim referacie sekretarz KM PZPR Ko walkowski. Oto np. w branży włókienniczej rozwój ten przedstawia się następująco: 1937 r. — 324 warsztaty, 1947 r. — 475, 1950 r. — 299, 1955 r. — 318, 1957 r. — 504 warsztaty. W bran ży budowlanej: w 1937 r. — 145 warsztatów, w 1957 r. — 131 war sztatów. Wzrost liczby zakładów rzemieślniczych branży drzewnej jest bardzo nieznaczny: w 1937 r. było ich 119, zaś w 20 lat później — 122. Zmniejszenie się liczby warsztatów rzemieślniczych bran ży budowlanej jest zrozumiałe, z uwagi na powstałe po wojnie du że państwowe przedsiębiorstwa budowlane. Natomiast niepożądanym zjawiskiem jest zanik warsztatów rzemieślniczych produku jących artykuły z drewna. Np. bednarstwo i kołodziejstwo — to dziedziny produkcji nadal bar dzo potrzebne.

Jak stwierdził referent, poważ nie wzrosły kredyty przyznawane rzemieślnikom Gdyni. W roku 1956 suma pożyczek udzielonych gdyńskiemu rzemiosłu wyniosła 895 tys. zł, zaś w 1957 r. już 3.260 tys. zł.

Jak wykazała dyskusja, najwię cej kłopotów mają rzemieślnicy z lokalami oraz z zaopatrzeniem w surowce. Sytuacja mieszkanio wa w Gdyni jest szczególnie trudna; na ok. 15 tys. potrzebnych izb, buduje się obecnie za ledwie 524 izby. Trudności w dostawach surowców są także wiel kie; rzemieślnicy otrzymują zazwyczaj najwyżej jedną trzecią potrzebnych materiałów.

W podsumowaniu dyskusji sekretarz KM PZPR Gąsiorowski zapewnił zgromadzonych rzemieślników, że władze uczynią wszystko, by ułatwić dalszy rozwój warsztatów rzemieślniczych w Gdyni. Zaapelował jednak do zebranych, by sami także dopomogli władzom w rozwiązywaniu pewnych trudności. Dotyczy to spraw m. in. poruszonych przez sekretarza Kowalkowskiego: wykorzystywania niektórych, nie używanych dotąd surowców, odpowiedniej rejonizacji warsztatów („nikt nie chce biegać do śródmieścia z dziurawym garnkiem") oraz zatrudnienia większej liczby uczniów.

Z. MILCZEWSKI

Krótkie wieści z Kaszub

DOBRY PRZYKŁAD NAUCZYCIELI

Należy mówić z uznaniem o ożywieniu się życia świetlicowego w niektórych wsiach powiatu kościerskiego. I tak np. młodzież w Starych Polaszkach wystawiła pod kierownictwem miejscowych nauczycieli znaną sztukę Bernarda Sychty „Hanka sę żeni", zespół dramatyczny w Lipuszu — sztukę dla dzieci „Kopciuszek", a zespół w Liniewie — „Switezziankę" Bałuckiego. W zespołach amatorskich w tych wsiach pracuje ofiarnie wielu nauczycieli m.in. Leikowie, Senger i Przytarski. Dobry przykład tych pedagogów winien zdopingować nauczycieli innych wsi do podobnie pożytecznej i wdzięcznej pracy.

(t)

NIEZABYSZEWIANIE SĄ ZADOWOLENI

W naszej wiosce istnieje 65-osobowy zespół amatorski, który prowadzi Anna Gawron. Wystawił on 1 stycznia 1958 roku sztukę ks. Bernarda Sychty „Dzewczę i miedza". Przedstawienie to obejrzeli prawie wszyscy mieszkańcy wsi.

19 stycznia br. zespół wystawił tę sztukę w Lipuszu, a 26. I. br. w Borowym Młynie. Następną wsią będą Trzebiatki itd.

Niezabyszewski zespół pracuje w tej chwili nad przygotowaniem tańców lubelskich i kaszubskich, które pokaże na majowym Zjeździe Członków Byłego Związku Polaków Ziemi Bytowskiej w Bytowie.

„SZAROTKA"

ZAPOMNIANA ROCZNICA

Przeglądając historię powiatu lęborskiego („Geschichte des Kreises Lauenburg in Pommern", oprac. dra Schultza), natknąłem się na str. 26 w rubryce „Miejscowości staropomorskie", na informację, że Wierzchucino istnieje w zapiskach miejscowych od 1257 roku. Wobec tego w 1957 roku winno się było obchodzić 700-lecie jego istnienia.

Wierzchucino, jak podają notatki, jest w kolejności piątą najstarszą miejscowością w powiecie lęborskim, której mieszkańcy określani byli przez Niemców, jako „element polsko-kaszubski".

Ubiegły rok zamknął więc siódme stulecie itsnienia tej kaszubskiej wioski.

J. Budnik

WZROŚNIE LICZBA ZATRUDNIONYCH

W roku 1955 było w powiecie kościerskim 110 warsztatów rzemiosła wytwórczego i usługowego. W ostatnich dwóch latach liczba tego rodzaju zakładów wzrosła do 444. Ponadto w kościerskim powstało 10 zakładów produkcji materiałów budowlanych.

Z kredytów interwencyjnych, przyznanych województwu gdańskiemu, powiat kościerski ma otrzymać około 13 proc. Pieniądze te przeznaczono na dokończenie budowy wytwórni zabawek przy spółdzielni „Kaszubianka", na mielarnię kredy pastewnej, na rozbudowę Wytwórni Miodów Pitnych oraz dokończenie budowy pawilonu dla zakładu konfekcyjno-bieliźniarskiego, prowadzonego przez tę wytwórnię. Dzięki tym inwestycjom liczba zatrudnionych wzrośnie w powiecie kościerskim o 276 osób.

s.t.

KASZUBSKI „DRZYMAŁA"

Niewielu ludzi na Kaszubach wie, że i my mamy w historii swego „Drzymałę". Był nim Augustyn Pawełczyk z Sierakowic (pow. kartuski). Pamięć o nim żyje jeszcze wśród ludności tej wsi, tam gdzie toczyła się jego zacięta walka o utrzymanie „polskiego domu na kółkach".

Z tego okresu pozostała drewniana stodoła Pawelczyka. Jej obecny użytkownik zapomniał jednak, że jest to obiekt zabytkowy. Stodoła z każdym dniem niszczeje coraz bardziej. Małym nakładem kosztów można by ją utrzymać w odpowiednim stanie. Trzeba pomyśleć o tym jak najszybciej.

Władze miejscowe powinny zatroszczyć się o upamiętnienie tego miejsca tablica, z ktorej przybysze poznaliby historię tej ciekawej walki z niemieckim zaborcą.

J. F.

KONKURS NA NAJŁADNIEJSZY OGRÓDEK

Zarząd Wojewódzki ZMW w Gdańsku ogłosił konkurs na najpiękniejszy ogródek kwiatowy na wsi w 1958 r. Konkurs rozpoczyna się 15 kwietnia a kończy 15 października br. Oprócz Zespołów Przysposobienia Rolniczego, w konkursie uczestniczyć mogą także koła ZMW istniejące w poszczególnych wsiach, szkoły ogólnokształcące i zawodowe, koła LZS, LPŻ, zespoły świetlicowe i drużyny harcerskie.

Celem organizatorów konkursu jest zachęcenie młodzieży do utrzymania estetycznego wyglądu zagród chłopskich i wsi, oraz spopularyzowanie wiedzy o hodowli cennych gatunków kwiatów.

s. t.

Co słychać w dolinie rzeki Łeby?

(Dokończenie ze str. 1)

terenie całego dorzecza. Powstały nowe możliwości stworzenia z wielkiej doliny łebskiej, potężnej bazy paszowej, na potrzeby własne oraz terenu przyległego (powiatów kartuskiego i wejherowskiego). Realne stało się również odwodnienie niedostępnych terenów zamieszkałych przez ludność rodzimą — Kaszubów.

W górnej części dorzecza Łeby, łąki i pastwiska porozrzucane są po całym terenie, tworząc tzw. łąki śródpolne o niedużych powierzchniach, względnie wąskie wstęgi wzdłuż rzeki. Stosunek użytków zielonych do ogólnej powierzchni użytkowanej rolniczo na terenie powiatów kartuskiego i wejherowskiego, jest bardzo niekorzystny z punktu widzenia wykształcenia prawidłowej struktury użytkowania, dostosowanej do warunków ogólnofizjograficznych rejonu kaszubszczyzny.

Gleby w dorzeczu stanowią w przewadze piaski z bardzo płytkim i słabo wykształconym profilem warstwy humusowej. Na ubogich glebach piaszczystych większość roślin uprawnych nie udaje się, a najmniej wymagające dają bardzo niskie plony.

Jednym z podstawowych zabiegów agrotechnicznych, jaki należy w takich warunkach stosować, jest silne nawożenie obornikiem. Jednak przy obecnym stanie łąk i pastwisk, niskiej ich wydajności oraz słabej obsadzie bydła, ilość obornika jest nie wystarczająca. Poprawę tego stanu można uzyskać przez odpowiednio przeprowadzone zabiegi melioracyjne na łąkach.

Uzyskanie po roku 1945 warunków do kompleksowego rozwiązania zagadnień wodno-melioracyjnych w dorzeczu Łeby oraz potrzeba intensyfikacji rolnictwa, stworzyły podstawy do zajęcia się przez państwo tym zagadnieniem. W latach 1954/1955 opracowano projekt generalny melioracji, obejmujący wszystkie użytki zielone w dorzeczu.

Obecnie, na podstawie zatwierdzonego projektu generalnego, opracowuje się projekty szczegółowe melioracji w dolnym biegu Łeby, które w zakresie melioracji podstawowych realizuje się w terenie. Między innymi wykonuje się obecnie regulację rzeki Łeby na odcinku od ujścia do jeziora Łebsko — do Lęborka, kanały odwadniająco-nawadniające oraz budowle wodne. Na ukończeniu znajduje się również opracowanie projektu szczegółowego melioracji łąk, położonych w obrębie Kluk — starego osiedla Kabatków (Słowińców).

Wydmy łebskie

Foto: Wł. Nieżywiński

Niezależnie od prac projektowych melioracyjnych, Zakład Planów Regionalnych w Gdańsku, opracowuje plan koordynacji wszystkich inwestycji projektowanych w danym rejonie.

Wykonawstwo robót melioracyjnych prowadzi się obecnie w dolnym biegu rzeki, gdzie istnieje wprawdzie największy kompleks łąk, jednak teren przylegający doń posiada ograniczone możliwości przejęcia wszystkich efektów gospodarczych z uwagi na słaby stopień zainwestowania. Prace melioracyjne prowadzi się od dołu w kierunku do źródeł Łeby. Zbyt długo będą więc musiały czekać powiaty kartuski i wejherowski na przeprowadzenie robót inwestycyjnych na swoim terenie. Inwestycje melioracyjne są wieloletnie, przy czym zakończenie ich przewiduje się za kilkanaście lat, (suma inwestycyjna wynosi ca 200 mil. zł).

Wydaje się, że nic nie stoi na przeszkodzie, a nawet za celowe należałoby uważać rozpoczęcie prac melioracyjnych równocześnie w górnym dorzeczu Łeby. Przemawiają za tym zarówno względy techniczne jak i ekonomiczne.

Każdy większy zabieg melioracyjny i przeciwerozyjny w górnym biegu rzeki, w strefie akumulacji wody, odbije się dodatnio na stosunkach hydrologicznych w dolinie, poniżej Lęborka. Uzyskanie dzięki melioracjom, w górnej części dorzecza większych wydajności łąk, pozwoli na powiększenie hodowli bydła, a co za tym idzie zwiększenie ilości obornika.

Poza tym potencjonalna możliwość uzyskania jak największych efektów inwestycyjnych istnieje w powiatach: kartuskim i wejherowskim. Najważniejsze, że cały wachlarz prac melioracyjnych prowadzonych w terminach wcześniejszych również na terenie wspomnianych powiatów, przyspieszyłby poprawę bytu ludności kaszubskiej.

Wobec powyższego, należałoby wysunąć propozycję pod adresem Zakładu Planów Regionalnych w Gdańsku oraz Zarządu Melioracji i Użytków Zielonych w Gdańsku, aby w swoich planach realizacyjnych przewidzieli prowadzenie inwestycji wodno-melioracyjnych — w odpowiednim zakresie — równolegle, w dolinie rzeki Łeby poniżej Lęborka i w powiatach kartuskim i wejherowskim.

Uzyska się w ten sposób skrócenie czasu amortyzacji nakładów inwestycyjnych, co w polityce gospodarczej państwa ma decydujące znaczenie.

Inż. KAZIMIERZ KALUBEC

Trzeba ułatwić hodowlę zwierząt futerkowych

Podobnie jak na Wybrzeżu, tak i w województwie bydgoskim hodowla zwierząt futerkowych staje się coraz bardziej popularna. Największe skupisko hodowców lisów, norek, nutrii i królików znajduje się w powiecie chojnickim. Większość hodowców zrzeszają Z.Z.K. „Kolejarz" i Powiatowy Zarząd ZKiOR w Chojnicach. Na atrakcyjność hodowli zwierząt futerkowych wpłynęła niedawna podwyżka cen na futerka: lisów platynowych — 900 zł, lisów niebiskich — 855 zł, lisów srebrnych — 600 zł, norek — 266 zł, nutrii — 25 zł, królików — 16,50 zł. Ostatnio Bydgoskie Przedsiębiorstwo Skupu Surowców Włókienniczych i Skórzanych stworzyło gospodarzom bardzo korzystne warunki zbytu tych zwierząt, płacąc zrzeszonym hodowcom nie tylko za skórę i mięso, ale i premię w wysokości 10% wartości każdej sztuki żywca.

Przeszkodą w rozwoju cennej i popłatnej hodowli zwierząt futerkowych jest brak odpowiedniego rozporządzenia regulującego sprawę zabezpieczenia zwierząt futerkowych przed epidemiami. Istnieją tego rodzaju zarządzenia dla hodowców trzody chlewnej czy drobiu, nie ma natomiast zarządzenia w sprawie hodowli lisów, nutrii czy norek. Zwierzętom futerkowym grozić może paratyfus, gruźlica, zapalenie mózgownic (u lisów), motylica wątroby (u nutrii) i inne choroby. Brak leków (hodowcy sprowadzają je z zagranicy własnym przemysłem) utrudnia leczenie i zapobieganie epidemii.

Eksport futer jest niezwykle popłatny i zapewniony. Trzeba jednak zapewnić gospodarzom odpowiednie warunki do hodowania zwierząt futerkowych.

Z. STROMSKI

NA OSTATEK PODNIÓSŁ

(Dokończenie ze str. 1)

swymi poddanymi wezwał na pomoc księcia pogańskiego Kruko. Ów książę pomocy udzielił, lecz postawił warunek, by Świętobór porzucił chrześcijaństwo i zgodził się oddać mu rękę swej córki, pięknej Sławiny. Chociaż Sławina zaręczona była z księciem Henrykiem Meklemburskim, musiała jednak wyjść za księcia Kruko i wyjechać z nim na daleką północ.

Miłość do ojczyzny nie wygasła w niej. Namówiła więc męża i wspólnie wyruszyli odwiedzić ojca, któremu Kruko wybudował piękny zamek. Przy ponownym zatargu między Świętoborem a jego wasalami Kruko, który podejrzewał teścia o potajemne sprzyjanie chrześcijaństwu, przeszedł na stronę buntowników — wasali i zamknął Świętobora w podziemiach jego własnego zamku. Podczas obchodu na cześć zwycięstwa tylko Sławina pozostała smutna. Zeszła więc do lochów, gdzie więziono jej ojca i wówczas w zamek uderzył piorun, który go zniszczył, aż do fundamentów. Książę pogański wraz ze swoim wojskiem znalazł śmierć pod gruzami. Nieco później zjawił się książę Henryk, uwolnił Sławinę, ożenił się z nią i nadał odbudowanemu zamkowi imię żony.

ZIEMIA ZBROJNYCH STARĆ

Ziemia sławneńska wystawiona była na szczególne niebezpieczeństwo w XIII i XIV wieku. Teren ten obejmował obszar Pomorza, którego granicą na zachodzie była rzeka Parsenta, na wschodzie Łeba, na południu granice dzisiejszych powiatów miasteckiego i sławneńskiego. Zamek Sławno był jedną z najsilniejszych twierdz pomorskich. Zbudowany na lewym brzegu rzeki Wiepszy przy wiosce Sławsko, oddalonej o 4 km od właściwego Sławna, był przedmiotem ciągłych starć. O tę ziemię, przez którą prowadził stary szlak handlowy z południowej Polski na północ i stamtąd do kopalń soli w Kołobrzegu, kłócili się książęta Moraw, Polski, Brandenburgii, Pomorza Zachodniego i Rugii oraz Wielki Mistrz Zakonu Krzyżackiego.

Przez wiele lat ziemia sławneńska przechodziła z rąk do rąk. Władali nią książęta Pomorza Zachodniego i magnaci ze zdradliwego rodu Święców. Raz po raz sięgali po nią Krzyżacy i książęta Pomorza Wschodniego, Brandenburczycy i Hohenzollernowie. Aż w końcu, po śmierci ostatniego księcia pomorskiego Bogusława XIV (1637 r.), dostała się Brandenburczykom i Hohenzollernom.

GERMANIZACJA

Nowi władcy rozdali ziemię sławneńską swoim magnatom i od tej chwili rozpoczęła się systematyczna germanizacja Kaszubów. Kronika kościoła w Sławnie wspomina o zagładzie resztek Kaszubów w II poł. XVII wieku, za czasów panowania Fryderyka II. Niemczenie ludności tubylczej związane było ściśle z likwidowaniem katolicyzmu na rzecz wyznania ewangelickiego. Ci, którzy nie chcieli ulec nowym władzom, uciekali na tereny polskie, inni (a była ich przeważająca większość) pozostali, pragnąc ratować kawałek własnej ziemi.

Z czasem ulegli oni germanizacji. Przykładem może tu być drzewo genealogiczne chłopskiej rodziny Wąsalów (eksponat Muzeum w Darłowie) ze wsi Dzierżęcina pow. Sławno, która z czasem zmieniła nazwisko na Vanselow, dając swym potomkom typowo niemieckie imiona. Z biegiem lat, pod silnym naporem germańskim, ludzie stracili świadomość swojej przynależności szczepowej. Doszło do tego, że Niemcy usiłowali nieraz wmówić Europie, że Kaszubi i Wendowie, to osobna narodowość, nie mająca nic wspólnego z Polską, a wobec tego należy zaliczyć ją do narodów germańskich. Wystarczyło jednak posłuchać mowy ludu, aby wiedzieć skąd wywodzą się Kaszubi. Dokumentem pisanym może tu być kancjonał kaszubski „Duchowne Pieśnie" — opracowany przez Szymona Krofeya w 1586 roku. Jedna ze zwrotek hymnu „Veni Redemptor genitum" brzmi:

„Przyć odkupicielu pogańsky
Od Panny porodzony
Wszytek świat narodzeniu
Dziwuje się takiemu."

Chociaż Krofey był protestanckim pastorem, to jednak był Słowianinem i dlatego śpiewał hymny katolickie i sławił z kaszubskim ludem Orędowniczkę.

DUCH SŁOWIAŃSZCZYZNY

Od czasu panowania na tych ziemiach ostatniego księcia słowiańskiego, minęło przeszło trzysta lat. Niemcy w tym czasie nie próżnowali. Jak wspomina kronika kościoła sławneńskiego „miasto najwięjcej zawdzięczało swemu możnemu protektorowi i dziedzicowi dóbr rycerskich w Warcinie, kanclerzowi Bismarckowi, który tam wypoczywał. To, że w 1910 roku było w Sławnie tylko 74 katolików (równoznaczne z pojęciem Polak), stanowiło szczególną zasługę tego hakatysty".

Ale nawet te trzy stulecia nie potrafiły całkowicie wyplenić słowiańskiego ducha w ujarzmionym narodzie. Przechowało się sporo dowodów świadczących o słowiańskości tych ziem. Ludzie, którzy po 1945 roku osiedlili się w powiecie sławneńskim pamiętają ciekawe nazwy niektórych miejscowości. Kierownik Wydziału Kultury Prezydium PRN w Sławnie p. Stefan Kroczyński wspomina, iż uderzyło go wówczas słowiańskie pochodzenie nazw niektórych miejscowości, pozornie tylko zniemczonych np. — Wendisch Bukow (obecnie Bukowo), oraz podobne do tego Grochów, Łochów itp.

Większość tych nazw, przepisano dosłownie na język niemiecki, nie zmieniając ich pierwotnego znaczenia. Gorzej natomiast wypadło z przemianowaniem ich powtórnie na nazwy polskie. Władze nasze ustanawiając polskie nazewnictwo na terenach byłej Rzeszy, chciały zrobić je jak najbardziej podobne w brzmieniu

PAMIĘTAJ!

»KASZËBË« TWOIM NAJLEPSZYM PRZYJACIELEM

ZAPRENUMERUJ SWOJE PISMO!

Zgłaszajcie swój udział w wystawie sztuki ludowej!

Oddział Zrzeszenia Kaszubskiego w Wejherowie, organizuje w okresie obchodu 300-lecia miasta Wejherowa wielką wystawę kaszubskiej sztuki ludowej. Otwarcie wystawy przewidziane jest na 1 czerwca br.

Na wystawę zgłosiło już swe prace wiele artystów ludowych m. in.: Leon Necel z Chmielna, Zofia i Jadwiga Ptach z Żukowa, Leonard Brzeziński z Wiela, Leon Golla z Władysławowa i Otylia Szczukowska z Wejherowa, Ruth Koetsch z Kluk pow. Słupsk i inni.

Komitet organizacyjny wystawy prosi pozostałych twórców ludowych, o nadsyłanie zgłoszeń w terminie do dnia 28 lutego br., w celu zabezpieczenia odpowiedniego miejsca na terenie wystawy.

Zgłoszenia prosimy adresować: Zrzeszenie Kaszubskie Zarząd Oddziału w Wejherowie, Skrytka Pocztowa 57. (K.D.)

KONKURS RECYTATORSKI

Zespół Imprez Artystycznych Zrzeszenia Kaszubskiego w Wejherowie, organizuje w marcu br. konkurs rycytatorski utworów kaszubskich. Konkurs ma na celu wyeliminowanie najlepszych recytatorów (-torek) miasta i powiatu Wejherowo, którzy następnie wezmą udział w konkursie recytatorskim organizowanym w okresie obchodu 300-lecia miasta. Konkurs ten obejmie wówczas najlepszych recytatorów z całych Kaszub.

Zgłoszenia kandydatów z terenu Wejherowa i powiatu, przyjmuje Zarząd Oddziału Z.K. w Wejherowie. (K.D.)

CZESŁAW SKONKA

Autokarem przez Czechosłowację (3)

POZNAVEJTE S NAMI KRASU MESTA NAD VLTAVOU!

NA początku cyfry. Stolica Czechosłowacji — Praha posiada milion mieszkańców i... 14 mostów na Wełtawie. Jest ona trochę mniejsza od naszej Warszawy, ale za to bogatsza w obiekty kulturalne: teatry, muzea, kina. Bogatsza w dobrze wyposażone sklepy, restauracje, różnokolorowe neony, w setki pięknych pojazdów i w nierzednące fale ulicznych przechodniów. Nadaje to Pradze charakter ruchliwego miasta. Widać to zwłaszcza na słynnej ulicy Vaclavska Namesti, która jest centrum stolicy.

Praha urzeka nas swą malowniczością i wprost niezliczoną ilością zabytków. Szczególnie dużo jest ich na Starym Mieście, Hradczanach, Nowym Mieście, Wyszehradzie, Królewskich Winohradach. Godnym zwiedzenia jest pałac królewski „Hradczany" pochodzący z IX wieku. W jego obrębie znajdują się zabytkowe kościoły: katedra św. Wita i romańska katedra św. Jerzego (powstała ok. 950 roku). Do najcenniejszych zabytków „Hradczan" należy też słynna „Sala Władysławowska", wybudowana na przełomie XV i XVI wieku, gdy na tronie czeskim zasiadł król polski Władysław II Jagiellończyk. Przez wszystkie stulecia „Hradczany" były siedzibą panujących. Obecnie obraduje tu Zgromadzenie Narodowe CSR i Komitet Partii.

Nie mniej ciekawym jest Wyszehrad, dawniej zamek, obecnie mauzoleum, miejsce spoczynku najbardziej zasłużonych obywateli Czechosłowacji. Tu znajdują się zwłoki: królów, książąt, wybitnych wodzów, pisarzy, muzyków. Leżą tu m. in. Slavik — Czeski „Paganini", pisarka Boże na Nemcowa, kompozytor Bedrzich Smetana. Legendy o życiu na dawnym Wyszehradzie, malowniczo opisuje czeski pisarz Alojzy Jrasek.

Z innych zabytków praskich na wyróżnienie zasługują m. in.: gotycka Brama Praska z XIV wieku, najstarszy most wspominany już w 932 roku, teatr — „Narodne Divadlo" z XIX wieku, budowane pod hasłem „Naród — sobie", Tyński Chram z XIII wieku, Ratusz Staromiejski z 1338 roku. Niesposób wymienić wszystkich co ciekawszych obiektów, a co dopiero zwiedzić je, jeżeli jest się w Pradze tylko 3 dni. Trzeba przecież zajrzeć jeszcze do praskiego „Turysty" i redakcji „Za krasami domova", no i do ...gospody „U Kalicha", gdzie pijał winko dobry wojak Szwejk. Na ścianach gospody wiszą portrety: Szwejka i cesarza Franciszka Józefa; dostać tu można naprawdę dobre pilzneńskie piwo.

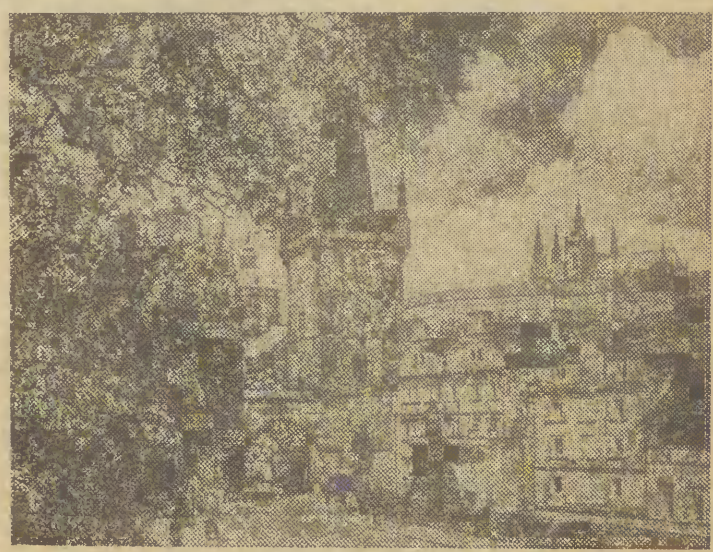

Praha. W głębi Hradczany

Foto: Vilém Heckel

Zasiadam więc przy pełnym kuflu i oddaję się rozmyślaniom o Czechosłowacji. Jak zdążyłem zauważyć, mieszkańcy CSR są ludźmi bardzo gościnnymi, uczciwymi i kulturalnymi. W kraju tym jestem już trzeci raz, ale nie zdążyłem spotkać pijaków, chuliganów, lub innego „czarnego elementu". Być może, że są, ale wobec tego jest ich niewielu i kryją się w mało uczęszczanych miejscach. Pijanego widziałem, owszem, ale... był to Polak, jeden z uczestników naszej wycieczki!

Wielka kultura i uczciwość cechuje handel wewnętrzny CSR. Klient, konsument, w sklepie czy restauracji, chce czy nie chce, za każdy towar otrzymuje paragon. Nie trzeba „żebrać" o opakowanie, jak to się często u nas dzieje. Nie miałem też wypadku, by mnie oszukano na wadze, lub by mnie nie wydano 10 czy 20 halerzy reszty. Podobają mi się też „angielskie", a raczej „czeskie soboty" w handlu. W sobotę, szczególnie w małych miastach, takich np. jak Zbraslaviu o godz. 13-ej zamykają się wszystkie sklepy, tylko gdzieś tam jeden dyżuruje. Ekspedienci mogą dobrze wypocząć, czy urządzić sobie „weekend" za miastem.

W CSR ludzie żyją dostatnio. Zarobki np. pielęgniarek wynoszą 600—700 koron, lekarzy 1200—1500 koron, pracowników rad narodowych 1000—1200 koron. Według moich obliczeń jest to tyle co w Polsce 1200—1400 zł, 2400—3000 zł, 2000—2400 zł. Wprawdzie drogie są tam wędliny (1 kg 30—40 koron), masło (50 koron kg) i droższy jest chleb. Ale za to inne towary są tanie: np. cytryny (12 koron kg), ryż, konserwy mięsne i rybne, sery, wina (14 koron wino importowane, krajowe są tańsze). Towary te sprowadza Czechosłowacja za eksportowane towary przemysłowe. W kraju towary te są niezwykle tanie i można dostać je w nieograniczonych ilościach, są to: lodówki, radia, buty, przedmioty elektryczne i turystyczne. Najnowszy typ „Jawy" kosztuje 7000 koron, a u nas 24000—27000 zł, rosyjska „Zorka" kosztuje w CSR 1000 koron, w Polsce 2000 zł, zegarki radzieckie u nich 500 koron, u nas ok. 1000 zł. W Czechosłowacji więcej jednak trzeba płacić za przejazdy koleją, za wstęp do kina i teatru. Drogie są również książki.

Nasz pobyt w CSR zbliża się ku końcowi. Chociaż przejechaliśmy 1200 km i zobaczyliśmy dużo ciekawych rzeczy, to jednak wyobrażenie nasze o tym miłym kraju pozostaje bardzo nieścisłe. Pocieszył mnie jednak trochę napis na praskim przewodniku: „A prijedte opel do Prahy" („Przyjedźcie z powrotem do Pragi"). Może kiedyś... A raczej na pewno...

ZBROYNĄ RĘKĘ SWĄ...

do dawnych nazw, nie badając ich pierwotnego znaczenia i dlatego spolszczono w wielu wypadkach jedynie końcówki, albo niektóre sylaby.

Zwrócił na to uwagę Aleksander Tarnowski, kustosz Muzeum w Darłowie. Tak np. niemiecką nazwę Katzenville, co w języku polskim powinno znaczyć Kocia Wola, przerobiono po prostu na Chociwel, podobnie zamiast Smerdowo — jest Smarzewo, z niemieckiego Schedzin zrobiono Szedzin, zamiast pierwotnej, staro-słowiańskiej nazwy Wszedzień. Tak dużo się mówi o słowiańskości ziem odzyskanych i w tym samym czasie niszczy się dokumenty, które mogą o niej zaświadczyć.

Obyczaje ludu przechowały prastare tradycje nocy świętojańskiej, pochody z turoniem, zabawy z jajkiem. Przechowało się również sporo kaszubskich legend, bajek i motywów zdobniczych. W budownictwie okrągła forma budowy wsi zachowała słowiański charakter, pozostało również sporo chat kurnych, które malował jeszcze w 1940 roku nieznany akwarelista (zbiory Muzeum Darłowskiego).

ŻEGNAJ RODZINNA ZIEMIO

I tak, jak można by doszukać się słowiańskiego pochodzenia wielu martwych przedmiotów, tak trudniej odnaleźć je w świadomości ludzi. Ci, którzy przed rokiem 1945 mieszkali w Sławnie, prawie wszyscy wyjeżdżają do Niemiec. Od 1946 roku z samego powiatu sławneńskiego wyjechało 47 tys. osób. W ubiegłym roku liczba ta wynosiła — 900. Na transport czeka jeszcze tysiąc osób — wszyscy chcą wyjechać. Ten tysiąc to już reszta tubylców. Władze traktują ich jako Niemców. Co innego mówią same nazwiska. Spisy repartriantów roją się od nazwisk, wcale nie niemieckiego pochodzenia: Pieper, Knop, Domke, Baranowski, Dombrowa, Adam, Solke, Slawin, Raskowske, Macikowska, Grabowska, Kluck, Wetzel, Stiński, Krokow itd.

Jak się domyślałam, sporo tych ludzi niewiele ma wspólnego z narodowością niemiecką. Wyjeżdżają dlatego, że nikt ich tu nie zatrzymuje. Są to często ludzie starzy i biedni. Jadą do Niemiec, bo tam mają krewnych, u których mogą spędzić spokojnie starość.

Rozmawiałam z p. Marią Nicową. Ona też złożyła podanie na wyjazd do Niemiec. Sama utrzymuje matkę i chorego męża. Mieszkają w walącym się parterowym domku. Pensja 800 zł, jaką otrzymuje w Powiatowej Radzie Narodowej, nie starcza na utrzymanie trzech osób. W Niemczech ma brata, u którego będą mogli zamieszkać. Wszyscy troje chcą wyjechać, aby jak mówią, „spokojnie tam umrzeć".

Pani Nicowa jest Kaszubką, pochodzi z Bożego Pola. W Sławnie osiedliła się w 1938 roku. Tu mieszkał jej mąż. W tej chwili nic ją nie wiąże z miastem. Ma krewnych w Niemczech, w Wejherowie, Kościerzynie. Jej stara matka z rozrzewnieniem wspomina odwiedziny w Kościerzynie — ludzie są tam tacy dobrzy i weseli. Wszyscy troje chcą jednak wyjechać.

— Już mieliśmy nadzieję na wyjazd — mówi p. Maria — a teraz znowu nic z tego. Pani wie, przy obecnej zwyżce cen na paszporty... Nigdy nie zarobię tyle, aby odłożyć 15 tys. zł, poza tym musimy przecież z czegoś żyć.

LUDZIE TWORZĄ OBLICZE MIASTA

W Sławnie niewiele pozostało ludzi, pamiętających tak jak p. Nicowa lata przedwojenne. Rok 1946 wyeksmitował ich z tych ziem, bez względu na to, czy to byli Niemcy, czy też zgermanizowani Polacy. Na ich miejsce zjawili się przybysze głównie z wileńszczyzny i zza Buga. Powstał konglomerat ludnościowy. Większość przybyła tu w nadziei wzbogacenia się. Niewielu było takich, którzy jak p. Tarnowski z Darłowa z pietyzmem zaczęli wyławiać cenne zabytki kultury minionych wieków.

Na przykładzie Sławna najlepiej można sprawdzić, że to właśnie ludzie tworzą oblicze miasta. Te dawniej kaszubskie ziemie zatraciły obecnie swoją przynależność etniczną. Są jak gdyby niczyje. Przypadkowi mieszkańcy, nie mogą stworzyć trwałej kultury, a o tej, która była tu przed setkami lat — nie wiedzą.

W ogóle o Kaszubach wie się w Sławnie tyle, że mieszkają w okolicach Gdańska i zajmują się rybołówstwem. Nie małe więc było zdziwienie w Powiatowej Radzie Narodowej, gdy pewnego dnia przyszedł z województwa okólnik polecający nauczanie w powiecie kaszubskich piosenek i tańców (bo przecież są to ziemie staro-kaszubskie). Co robić, zaczęto przepytywać co to za pieśni, jak wyglądają tańce kaszubskie... i na tym zakończono akcję. Bo jak uczyć piosenek i tańców kaszubskich gdy w powiecie nie ma Kaszubów. Gdzieś tam na wsi osiedlili się po wojnie jacyś Kaszubi, ale jest ich tak niewielu, że nie ma co zaprzątać sobie tym głowy.

W mieście też znalazłoby się parę osób mówiących po kaszubsku. Aby ich policzyć, starczyłyby zapewne palce jednej ręki. Tak więc pod względem ludnościowym Sławno równie dobrze mogłoby leżeć na Śląsku czy Mazurach. A kto wie, czy tam nie znalazłoby się więcej Kaszubów?

SKROMNE ŻYCZENIE

Gdyby więc ktoś zechciał ustalić położenie Sławna pod względem historycznym i etnograficznym, znalazłby na to dwie przeciwstawne odpowiedzi. Historycznie ziemie te należą do Kaszub, etnograficznie — znajdują się na ich marginesie. Margines ten jest bardzo szeroki i kto wie, czy w przyszłości nie powróci tam dawna kultura kaszubska. Być może wraz z nią, miasto zatraci swą „nijakość", czego należy mu życzyć tak samo gorąco, jak tego, by w zestawieniu z pozostałymi miastami z liczby „200", nie pozostało na szarym życiowym końcu.

IRENA PIOTROWSKA
STANISŁAW PESTKA

KONKURS
na utwór dramatyczny

Związek Teatrów i Chórów Ludowych ogłosił konkurs na utwór dramatyczny dla scen amatorskich. Na konkurs można nadsyłać sztuki i inscenizacje nigdzie nie drukowane i nie wystawiane zarówno pełnowidowiskowe, jak i z zakresu tzw. małych form (jednoaktówki), w trzech egzemplarzach (maszynopisu) na adres: Związek Teatrów i Chórów Ludowych, Warszawa 22, ul. Reja 9. Nagrody do 10.000 zł.

LASY, WODA I... HISTORIA

w dawnej kasztelanii białogardzkiej

Wieś Salino należy do najpiękniej położonych, ale najmniej znanych turystom miejscowości w powiecie lęborskim. Tymczasem malowniczy krajobraz tej okolicy, ciekawe dzieje osady i cenne zabytki zasługują na zainteresowanie się nimi przez krajoznawców, a szczególnie przez harcerzy, którym wyprawa w te strony przyniesie z pewnością wiele niecodziennych przeżyć.

Salino leży w centrum morenowej wysoczyzny rozciągającej się między dolinami rzeki Łeby, Redy i Piaśnicy oraz Bałtykiem. Dotrzeć do wsi można najlepiej z przystanku Kostkowo lub Choczewo (przy linii Wejherowo—Garczegórze—Lębork). Wieś otoczona jest z trzech stron lasami i wzniesieniami, z których najwyższe (ok. 112 m ponad poziom morza), nazywane było Szubieniczną Górą. Od strony wschodniej rozciąga się duże Jezioro Salińskie, od strony południowej obramowane ciemną ścianą lasu. Na środku jeziora znajduje się malownicza, porośnięta starodrzewem okrągła wysepka. Na jej wschodnim brzegu rozłożyła się wśród sadów niewielka wieś Mrzezinko.

Z istnieniem wyspy wiąże się najdawniejsza przeszłość Salina. Na niej bowiem wznosił się we wczesnym średniowieczu pomorski gród, wspominany w dawnych aktach kościelnych. Jeszcze dziś dostrzec można ślady wału, który stanowił niegdyś obrzeżenie wyspy, oraz sztucznie wykonane zagłębienie w północnej jej części. Na terenie grodziska znalazłem w 1956 r. ponad 20 ułamków naczyń glinianych, ozdobionych przeważnie ornamentem brózd poziomych, a w dwóch wypadkach ponadto linią falistą. Według ekspertyzy archeologów Muzeum Pomorskiego, naczynia te wykonane zostały w drugiej fazie okresu wczesnośredniowiecznego i mogą być datowane na XI—XII wiek.

Sam gród pamiętał zapewne jeszcze dawniejsze czasy, gdyż Salino zaliczane jest do najdawniejszych osad kasztelanii białogardzkiej, późniejszej Ziemi Lęborskiej. Mieściła się tu zapewne siedziba możnego władyki, w którego rezydencji na trudno dostępnej wyspie leżącej ok. 200 metrów od brzegu, znajdowała schronienie okoliczna ludność w wypadku najazdu wrogów.

Już w XIII wieku znajduje się w Salinie kościół, w którym w roku 1268 urzęduje prepozyt Michael de Saulin. Parafia salińska należy do najlepiej wyposażonych w średniowieczu, gdyż posiadała ponad 4 włóki ziemi, tj. więcej niż 10 proc. obszaru zajmowanego przez wieś. Dochowały się wiadomości o ostrych, blisko wiek trwających zatargach duchownych Salina z okoliczną ludnością. W 1344 r. Wielki Mistrz Krzyżacki Ludolph König przekazał wieś szpitalowi Św. Ducha w Gdańsku. Prawa szpitala do tej posiadłości mimo licznych zmian, jakie nastąpiły w następnych dziesiątkach lat, nie wygasły jeszcze w początkach XVI w. Nie wiadomo bliżej, na jakiej podstawie zagarnęli wówczas Salino Krokowscy (z Krokowa koło Pucka). Wiadomo, że zostali za to w 11 okolicznych świątyniach wyklęci z Kościoła. Mimo ekskomuniki Krokowscy zatrzymali posiadłość, a dopiero ok. połowy XVII w. odstąpili ją Solickim, od których przejęli wieś z początkiem XVIII w. Rexinowie. W XVI w. wieś przeszła na luteranizm i próby biskupa Rozdrażewskiego podjęte w 1590 r. w sprawie oddania kościoła katolikom zakończyły się niepowodzeniem.

Stary kościół istniał jeszcze w 1784 r. Obecny, z polnego kamienia, trzynawowy, halowy — pochodzi z 1832 r. Z jego wieży zniknął niestety zabytkowy dzwon, ulany w 1728 r. przez G. Wittwerka z Gdańska. Z dawniejszego wyposażenia pozostała grobowa płyta wapienna z herbem i zatartym napisem: CONSILIARIUS PRINCIPIS POMERANIAE..... ANNO 1626, a więc kryła zwłoki jakiegoś doradcy księcia pomorskiego. Nadto zachowała się XVIII-wieczna drewniana figura anioła, obraz olejny „Ukrzyżowanie" i misa chrzcielna. Zaginął natomiast pięknej roboty kielich srebrny, złocony z reliefem na czarze i stopie — dzieło gdańskiego złotnika z 1724 r.

Z inwentarza sporządzonego w 1784 r. dowiadujemy się, iż prócz kościoła istniał w Salinie młyn wodny, plebania i zamek. Zamek ten, a właściwie niewielki dworek, nazywany przez okoliczną ludność z niewiadomych powodów „Szwedzkim Zameczkiem" zachował się do dziś i może być uważany za prawdziwy unikat wiejskiej architektury na terenie Pomorza Gdańskiego. Jest to parterowy budynek ryglowy z dwiema narożnicami, typowymi dla polskich dworków. Mansardowy dach pokryty jest słomą. Dworek był parokrotnie przebudowywany, a ostatnio rozbudowano go, zniekształcając oryginalny plan zabytkowy. Dworek stoi na wysokim brzegu jeziora pod osłoną starych lip. Jeszcze przed kilku laty mieszkała w nim jakaś rodzina. Obecnie opuszczony i pozostawiony bez żadnej opieki niszczeje w szybkim tempie tym bardziej, że miejscowi szabrownicy wykradłszy drzwi i okna przystępują do rozbiórki ścian.

Cenny ten zabytek należałoby koniecznie uratować i znaleźć dla niego użytkownika. Mógłby się tu mieścić np. harcerski ośrodek sportów wodnych, dla którego istnieją w Salinie wręcz idealne warunki.

FRANCISZEK MAMUSZKA

Jezioro Salińskie z wyspą, na której znajduje się wczesnośredniowieczne grodzisko.
Foto: F. Mamuszka

Ryglowy dworek nad Jeziorem Salińskim
Foto: F. Mamuszka

Władysław Wojciechowski

Pierwszy wieczór

Za nami port na tle granatu
Rozwiesił świateł swych tysiące,
A księżyc — nocnych mgieł lunatyk
Pomiędzy stadem chmur się plącze.

Tańczą po wodzie nikłe blaski —
Usypiających fal pozłota,
Ten wieczór — jakby wzięty z baśni,
Cisza dokoła i tęsknota.

Mgła

Zawisł nad morzem ciężki welon
Z wilgotnych nici gęsto tkany,
Krzyczą stłumione mleczną bielą
Syreny statków zabłąkanych.

Słychać krzyk mewy w mglistej sieci...
Więcej nie słychać nic dokoła.
A jednak zdaje mi się przecież,
Że moje imię z dali wołasz.

Powrót

Wesoło huczy dzwon kotwicy —
Trzy dni zostały między nami,
Lecz któż potrafiłby policzyć
Radosne myśli, że wracamy.

Dziś nawet groźne chmury cieszą,
Sztorm tylko drogę nam umili —
Tęskniłem mniej przez cały miesiąc
Niż dzisiaj tęsknię, w jednej chwili.

Prasa polska dociera do 55 krajów świata

Prasa polska dociera do 55 krajów świata. Ilość wysyłanych egzemplarzy wyniosła w r. 1957 przeszło 11 milionów egz. reprezentujących 510 tytułów dzienników i czasopism. Największą ilość prenumeratorów ma prasa polska w ZSRR i krajach demokracji ludowej. Wśród czasopism wysyłanych za granicę znajdują się również nasze „KASZËBË", które wysyłamy na zlecenie do następujących krajów: Niemiec, Francji, Czechosłowacji, ZSRR, Kanady, USA i Anglii. (i)

NASI PISARZE

JAN TREPCZYK

— Wybierałem się do Pana kilka razy — mówię na przywitanie. — Znając Pańską twórczość literacką, nie znałem dotychczas jej autora.

— Wejherowo nie leży zbyt daleko od Gdańska...

Idąc ze szkoły do domu, zawieramy pierwszą znajomość. Jan Trepczyk jest nauczycielem w Wejherowie, mieszka tu od zakończenia wojny.

— A przed wojną? — pytam.

— Przed wojną mieszkałem w poznańskim.

— To nie w Kartuzach? — Przecież wspólnie z Aleksandrem Labudą i Janem Rompskim wydawał Pan „Zrzesz Kaszëbską".

— To fakt, lecz kontaktowaliśmy się tylko listownie. Rząd skierował mnie na posadę w województwie poznańskim, a Labudę do Torunia. W ten sposób pozbył się niewygodnych dla siebie działaczy i pisarzy kaszubskich. Nasza praca była solą w oku ówczesnej administracji polskiej, która przy każdej okazji akcentowała swój negatywny stosunek do nas. Zresztą, o naszej ówczesnej działalności utworzyła się cała legenda...

W domu dyskutujemy o „Zrzeszy". Trepczyk odnajduje kilka numerów pisma i wspólnie cytujemy sporne miejsca: w sprawach profilu politycznego pisma, jego doraźnej taktyki w kwestiach regionalnych, w sprawach dialektu kaszubskiego itd. Chociaż wychodzimy z zupełnie różnych pozycji — Trepczyk patrzy na artykuły oczyma autora, który znając ówczesną sytuację, naświetla je w duchu tamtych czasów; ja traktuję te sprawy z punktu widzenia współczesnego — to jednak znajdujemy wspólny język o ile chodzi o konieczność ożywienia kultury regionu, ujednolicenia pisowni kaszubskiej itd.

— Kiedy nawiązał Pan kontakt z Majkowskim? — pytam.

— W dwudziestym szóstym, lub siódmym roku. Debiutowałem wierszami w jego „Gryfie". Potem pisałem w całej prasie pomorskiej.

— Dlaczego wydał Pan zbiorek „Kaszëbskji Pjesnjók", a nie tomik wierszy. Zdaje się, że jest Pan przede wszystkim poetą.

— Być może, że niektórzy tak myślą... W istocie jest inaczej. Moje wiersze zawdzięczają swoje istnienie tylko melodii. Zbieram pieśni kaszubskie, opracowuję ich melodie, a ponieważ każdy śpiewa inne słowa, więc muszę sam pisać zupełnie nowe teksty. Tak więc moje wiersze — to głównie słowa pod melodię.

— Prawdopodobnie dlatego są tak melodyjne — wtrącam.

— Nie tylko, dialekt kaszubski ma bardzo elastyczny akcent, słownictwo jest bardzo dźwięczne — to także ma swój wpływ na melodyjność wierszy.

W międzyczasie przechodzimy do gabinetu. Jest także pan Derc, sekretarz miejscowego zarządu Zrzeszenia Kaszubskiego. Słuchamy pieśni kaszubskich w wykonaniu autora. Akompaniuje córka. Melodia i słowa chwytają za serce. Dlaczego nie można tego pokazać na scenie — myślę. — O ile bogatszą byłaby kultura muzyczna regionu, gdyby zespoły świetlicowe znały pieśni Jana Trepczyka.

— Czy przygotowuje Pan coś do wydania?

— Tak, chociaż nie znalazłem jeszcze wydawcy. Mam zamiar zwrócić się do Wojewódzkiego Domu Twórczości Ludowej w Gdańsku. Może zainteresuje się tym. Niestety nie jestem zbyt wielkim optymistą. Wiem jak skandalicznie długo ciągnie się wydanie zbioru pieśni Kirsteina i Roppla

— Mam nadzieję, że Wojewódzki Dom Twórczości jest instytucją poważną... Właściwie oni sami powinni zainteresować się wydaniem, dlaczego Pan miałby ich o to prosić?

— W praktyce jest inaczej — uśmiecha się Trepczyk.

Rozmawiał
JERZY STRUMIEŃSKI

PIEŚNIARZ ZNAD WIELEWSKIEGO JEZIORA

Wspomnienie o Wicku Rogali

18 STYCZNIA 1958 ROKU O GODZ. 20.30 PRZESTAŁO BIĆ SERCE 86-LETNIEGO WINCENTEGO ROGALI Z WIELA. PO ZGONIE MECENASA SZTUKI LUDOWEJ DRA JANA PAWŁA ŁUKOWICZA Z CHOJNIC I ARTYSTY-PLECIONKARZA ALEKSANDRA BRUSKIEGO Z LUBNI, JEST TO TRZECI Z RZĘDU ZGON WYBITNEGO KASZUBY W OSTATNICH MIESIĄCACH, NA TERENIE POWIATU CHOJNICKIEGO.

Popularnie zwany „druh Wick" urodził się 9 kwietnia 1871 roku w Twórzejewie obok Wiela, jako syn zagrodnika Piotra i Joanny z domu Ossowskiej.

Już od najmłodszych lat stale mu „coś grało". Jako utalentowany knop —

z gór chełmicciech, gdze zëmne wiatrë wieją
i z wydmów piosek miedzë chujcie seją,
kënë sę dalek cygną bore głuche,
gdze w noc piecielne straszą ludzy duchë)

otrzymał w podarunku cytrę i epopeę Jana Hieronima Derdowskiego, o tajemniczym i dziwnie brzmiącym tytule „O panu Czorlinscim co do Pucka po sece jachoł". Ta książka pieczołowicie przechowywana w schowku na strychu, skierowała jego młodzieńcze zainteresowania w kierunku umiłowanej, ginącej kaszubszczyzny. Z niej to nauczył się mały Wick czytać i pisać. Znał na pamięć wszystkie ciekawsze fragmenty, często recytował je. Nic więc dziwnego, że „przëgodë Czorlinsciego" zaważyły na jego dalszych losach. Śladem postaci tego utworu, zaczął zwalczać energicznie przeciwności życiowe, posługując się swoistym orężem: humorem i upartością.

Po skończeniu nauki młody adept kupiectwa i ogrodnictwa „wędrowczykował" czyli „wanożël" podobnie jak Czorlinsci po Kaszubach i po całym obszarze ówczesnego zaboru pruskiego. W 1903 roku poznawszy kawałek świata, osiadł 32-letni Rogala w malowniczej wsi rodzinnej, skupiając dookoła siebie miejscowych „mądralów".

Wick przed swoją checzą
Foto: A. WYSOCKI

Gdy w drugiej połowie 1908 roku, staraniem dra A. Majkowskiego, zaczął wychodzić pierwszy w dziejach Kaszub miesięcznik regionalny „Gryf", nakreślający ramy pracy kulturalnej na Kaszubach druh Wick począł myśleć nad stworzeniem kaszubskiego zespołu teatralno-śpiewaczego. Wreszcie latem 1909 roku powstał zespół amatorski „Żaba", który wystawił pod kierownictwem Rogali i w jego przeróbce poematy: J. H. Derdowskiego, dra A. Majkowskiego i F Sędzickiego.

Na plac boju — jak mawiał W. Rogala — czyli na pierwszy ogień poszła satyra A. Majkowskiego „Jak w Koscerznie koscelnygo obrele czyli czterech kawalerów a jedna jedyno brutka". Mówiono wtedy szeroko o jego prac- i ambicjach „wywrotowych". Śmiano się z zabawnych scen, pełnych zdrowego, a niekiedy i rubasznego humoru. Gdy nadchodziła zima Rogala znajdował nowe zajęcie — otaczał specjalną opieką robotników rolnych powracających z robót sezonowych, z nizin gdańskich do swojej wsi.

Wick był też dyrygentem towarzystwa śpiewu „Harmonia" w sąsiedniej wsi Karsinie (pow. Chojnice). Chór ten miał w repertuarze również pieśni regionalne w jego układzie, pisane gwarą zaborską. Oto pieśń o poecie J. H. Derdowskim, którą Rogala „zmeistrował" w 1912 roku.

Na Chełmicach widnej górze
Piękny widok jest w naturze
Szerok widac góry, lasy
I chateczkę lubej Kasi.

Na tej górze swej rodzynnej
Pisał w fantazji dzecinnej
Heruś wiersze z dawnych dzeji
I o krewnym „Jaśku z knieji".

Pogardzele Chełmicami
I górami i kniejami —
Heruś z Jaśkiem w równym czase
Po niejednym w domu kwase —

Do Ameryki swisnęli.
Szukac szczesco tam poczęli,
Ale pieczone gołąbcie
Nie idą i tam do gąbcie.

Treść tej pieśni uwypukla silną pozycję Derdowskiego w ówczesnym społeczeństwie kaszubskim.

Wicek Rogala utrzymywał osobisty pisemny kontakt z różnymi działaczami kaszubskimi, m. in. z Abrahamem z Oliwy i Rogalą ze Śliwic, którzy w 1919 roku powędrowali do Wersalu, aby tam walczyć o przyłączenie Kaszub do Polski.

W 1920 roku Wick prowadził kursy samokształceniowe dla starszej młodzieży wielewskiej i z sąsiednich wsi. Uczył w języku Hieronima Derdowskiego, wpajając młodzieży wiadomości z zakresu wiedzy podstawowej.

Druh Wick żył też sprawami ogólnopaństwowymi. Gdy 19 lutego 1923 obchodzono w Toruniu uroczystość 450-lecia urodzin Mikołaja Kopernika „zmëslël" wiersz „Nowotny miernik — Mikołaj Kopernik":

Ty co słonko zatrzymałes,
Zemi ruszëc rozkazałes,
Żyj nam, że wiedze poznałes
I ruchë niebios odszukałes.
Toruńską kolebkę wsławiłes,
Gród ten i zemie
naród cały — bo polscie
Wydało Cę plemnie!
Za tę prôwdę, mądrosc wielką,
Poburzyłes wiedzę wszelką.
Chceli Cebie kamienowac
I do pryze zapakowac.

Oszaloł do resztë w Warmii
Nowotny miernik,
Przewrócył na rębë strop nieba
Mikołaj Kopernik!

Gôdcie naju, piesnie naju
Wszetci znają i spiewają:
O rachmistrzu dzielnym
Astronomie nieśmiertelnym.

Poczynania Wicka Rogali cieszyły się dużym powodzeniem. Sam obserwowałem w Polsce międzywojennej entuzjazm Kaszubów — przeciwnych z zasady nowatorskim popędom — dla postępowego zespołu „Żaba", np. przyjęcie go z aplauzem w 1930 roku przez społeczeństwo Górek pod Wielem.

W czasie okupacji — już wtedy, 70 lat liczący Rogala — został wywieziony do obozu wysiedleńców rolnych w Potulicach koło Nakła nad Notecią, gdzie swoim humorem i pogodą ducha rozsłoneczniał ciężkie dni obozowe.

W 1945 roku wrócił na „stare śmieci" do Wiela i zamieszkał sam w małej izbie walącej się checzy. Ogołocony ze wszystkiego musiał rozpoczynać od nowa starania o urządzenie sobie życia.

Twórcę ludowego, chodzącego kulawo, przy pomocy „cija", odnajdują wnet harcerze, młodzież i dziennikarze. Listonosze przynoszą coraz więcej listów i czasopism. Na każdy otrzymany list druh Wick odpowiada natychmiast, podając na odwrocie koperty swój oryginalny adres: Wick Rogala, Wiele, Kaszuby. Rogala nie był „zaściankowym patriotą", ale chciał, by Kaszuby słynęły z:

Suchych piôsków,
cemnych lôsków,
brzôzków starych,
chujków szarych[1])

Wick gra na cytrze
Foto: Cz. WOŹNY

Tak jak w okresie pierwszej i drugiej wojny światowej walczył o polskość Kaszub, tak w Polsce Ludowej zaczyna popularyzować Kaszuby i przybliżać je ogółowi społeczeństwa polskiego. Mimo podeszłego wieku znowu pisze i komponuje.

W okresie wakacji letnich prawi niezmordowanie wycieczkowiczom o poecie Derdowskim, nazywając go czule „ukochanym Hierusiem". W pogadankach z przybyszami z głębi Polski, w grze i śpiewie o Kaszubach, upatrywał Wicek swoje powojenne posłannictwo.

W 1953 rok druh Wick obchodził 50-lecie swej ludowej pracy artystycznej. Gdy zjawiłem się u niego w tym czasie i przypomniałem, że mija 50 lat jego „orki" kulturalnej na Kaszubach, zbył mnie milczeniem. Było mu ciężko, pomagaliśmy więc w miarę własnych sił.

Rogala nie był orłem jak Ceynowa, ani kosem jak Derdowski. Był skowronkiem zawsze pogodnym i pełnym humoru, który wierzył, że po ostrej zimie nadejdzie prawdziwa wiosna.

Władze przypomniały go sobie dopiero w 1954 roku. W pierwszą niedzielę czerwca udekorowany został Złotym Krzyżem Zasługi. Otrzymał wówczas także stałą zapomogę pieniężną z Ministerstwa Kultury. Niektórzy myśleli, że 83-letni Wick spocznie na laurach. Nic podobnego, tak jak i dawniej każdego lata opowiadał przy wtórze cytry kaszubskie dzieje, tak i później pozostał do dyspozycji coraz to nowych wycieczkowiczów, którzy do późna w nocy okupywali jego dom.

Dla sędziwego pieśniarza letnie wieczory wielewskie, spędzane w kręgach miłośników folkloru kaszubskiego z całej Polski, stały się tematem nowej pieśni gwarowej.

W 1957 roku Wicek Rogala został laureatem nagrody artystycznej województwa bydgoskiego, za całokształt samorodnej ludowej twórczości artystycznej.

Dzień 18 sierpnia ub. r. czyli przeddzień obchodu 55 rocznicy śmierci J. H. Derdowskiego, był dla Wicka szczególnie wielkim świętem. Odsłonięto wówczas pomnik ku czci wielkiego poety, którego Wicek tak bardzo kochał.

Rogala już nie żyje. W uszach wędrowców nie będzie więcej drżała swojska i rzewna nuta jego gry i śpiewu. Jego proste i serdeczne słowa nie będą więcej rozpalały ciekawości w oczach słuchaczy. Atmosferę ludowego artyzmu, która otaczała Wiele, trzeba zachować jednak nadal. Mieszkanie Rogali, wyremontowane dość wysokim kosztem przez Wojewódzką Radę Narodową w Bydgoszczy, mogło by pomieścić pamiątki po obu sławnych mieszkańcach Wiela, tak aby już latem ludzie z głębi Polski mogli zwiedzić „Muzeum pamiątek po poecie J. H. Derdowskim i grôlu W. Rogali".

Józef Osowicki

[1]) Wyjątek z „Jaśka z knieji" H. Derdowskiego.
[2]) Wyjątek z „Pieśni o ziemii naszej" Izydora Guigowskiego.

CHOJNICCY FILOMACI

ADAM MICKIEWICZ

CHOJNICCY filomaci odegrali niemałą rolę w walce o zachowanie na Pomorzu polskości i odzyskania niepodległości państwowej. W myśl zasad filomatów wileńskich, przyjętych przez filomatów chojnickich, pracę zaczęto od kształtowania własnych charakterów i umysłów. Przede wszystkim dbano o zachowanie polskości i czystości rodzimego języka. Nakładano specjalne kary na tych, którzy podczas zebrań używali języka niemieckiego. Filomaci chojniccy uważali się zawsze za duchowych synów filomatów wileńskich, których dzieła studiowali z wielkim zainteresowaniem. Głównie zajmowali się Mickiewiczem, którego nazwisko używali w haśle. Do młodych zapalonych umysłów filomatów przemawiała żywo potęga uczuciowa dzieł Mickiewicza, zwłaszcza „Dziadów" i „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego". Słowa Litanii Pielgrzymskiej odmawiali na zebraniach. Młodzi łapczywie wchłaniali polską literaturę romantyczną, która kształtowała ich charaktery.

Obok pracy nad sobą — filomaci chojniccy wytknęli sobie i inny cel — pracę narodową wśród ludności Kaszub. Sprawa Kaszubów była palącą z punktu widzenia interesów polskich. Na lud kaszubski, przeważnie nieuświadomiony narodowo i zacofany, rzucili się niemieccy agitatorzy: nauczyciele, urzędnicy, ziemianie.

Groźny ten objaw obserwowali chojniccy filomaci. Po opuszczeniu gimnazjum szli między lud, by mrówczą pracą uświadamiać go, podnieść ekonomicznie i kulturalnie. Oni to byli krzewicielami ruchu młodo-kaszubskiego.

Filomaci chojniccy, naśladując swych poprzedników wileńskich, starali się być wszechstronni. Uczyli się polskiej gramatyki i literatury, której znajomość była wymagana przez statut.

Poza tym przyswajali sobie polskie piosenki, śpiewane następnie na zebraniach pod miastem. Jak

(Dokończenie na str. 7)

PRASA O KASZUBACH

PANORAMA PÓŁNOCY

Magazyn Ziem Północnych nr 3 z 19. I. br. zamieszcza artykuł o Klukach pt. „Dziwna wioska pośród mocarów pióra A. Stryjera. Autor wspomina o łamaniu praworządności w tej wiosce, fragmentarycznie omawia przeszłość Słowińców i kończy artykuł przedwcześnie optymistycznymi wnioskami, że w Klukach dzieje się coraz lepiej.

ŻOŁNIERZ POLSKI LUDOWEJ

Bydgoski dziennik wojskowy nr 17 z 21. I. br. zamieszcza artykuł J. Podgórecznego pt. „Tajemnicze kręgi kamienne pod Czerskiem na Kaszubach". Czerskie kręgi wg różnych hipotez posiadają od 2 do 4 tysięcy lat i stanowią poniekąd rewelację. Podobne kręgi występują w Wielkiej Brytanii. (b)

TYGODNIK ZACHODNI

Jordan Koźlikowski w artykule pt. „Przeciwko kompleksowi klęski i prześladowania" (nr 4 z 25. I. br) omawia działalność Komisji Ruchu Oporu na Pomorzu przy Zarządzie Głównym Zrzeszenia Kaszubskiego. Wyciągając wnioski z działalności pomorskiego podziemia, J. Koźlikowski apeluje, ażeby „nadrobić ogromne zaległości w formowaniu własnego aktywu społecznego, wyrosłego ze środowiska i wzajemnie się z nim rozumiejącego". (b)

GŁOS WYBRZEŻA

Maria Odyniec w artykule pt. „Pomorskie czarownice" omawia zabobonną przeszłość Kaszubów, dając poniekąd przegląd „czarownic", które panoszyły się wśród ludzi.

REJSY

W „Rejsach" — dodatku tygodniowym „Dziennika Bałtyckiego" (nr 4 z 26 stycznia br.) Leon Roppel zamieścił pośmiertne wspomnienie o Wincentym Rogali pt. „Kaszubski Sabała". Autor szeroko omawia środowisko, w jakim wyrósł popularny „grajek Wick z Wielô", a następnie treściwie charakteryzuje działalność wielewskiego pieśniarza. (b)

SYGNAŁY

Tygodnik kolejarzy nr 48 z grudnia ub. r. zamieścił artykuł pt. „Kaszubska załoga spisuje sie na sztandar — ale porzebuje pomocy".

GŁOS WSI

Tygodniowy dodatek „Głosu Wybrzeża" nr 7 z 29 I. br. zamieszcza obszerną informację R. Gojżewskiego pt. „Wejherowo przed obchodem 300-lecia istnienia". Z informacji dowiadujemy się m. in. że Ministerswo Łączności wprowadzi specjalne znaczki pamiątkowe z herbem miasta i okolicznościowy datownik. (b)

BIBLIOGRAFIE SLOVANSKE KNIHOWNY

Wychodząca w Pradze Bibliografie Slovanske Knihowny" (nr 3. II. 1957, str. 432, poz. 707 i 708) zamieściła obszerną notę bibliograficzną o wydanych przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą w 1956 r. dwóch zbiorach kaszubskich, a to „Nasze stronë" — wierszy Piętowego Tony i Staszkowego Jana oraz wyboru utworów Franciszka Sędzickiego pt. „Jestem Kaszubą" (po czesku „Isem Kasub".

Równocześnie notka ta ustosunkowuje się do recenzji obu tych zbiorów poetyckich dokonanej przez dialektologa p. Zuzannę Topolińską (w „Języku Polskim" XXXII, s. 382-387). Jak wynika z notki bibliograficznej wszystkie zakłady językoznawstwa ogólnego a przede wszystkim instytuty wzgl. wydziały slawistyczne wyższych uczelni wraz z zakładami etnografii i etnologii żywo interesują się wszelkiego rodzaju publikacjami dotyczącymi Kaszub. Wyciągnięcie należytego wniosku z tego stwierdzenia przyniesie nam — niezależnie od ożywienia naszego życia kulturalnego i urozmaicenia rynku wydawniczego — na pewno również sporo dewiz.

(LU)

POMORZE

Bydgosko-gdański dwutygodnik (nr 1/2 z 1-31. I. br.) zamieszcza na czołówce reportaż Kazimierza Kummera o środowisku kulturalnym w Chojnicach pt. „Muzy Polski powiatowej".

W tym samym numerze Jerzy Makowski recenzuje „Wiersze i frantówci" Aleksandra Majkowskiego, wydane ostatnio przez Wydawnictwo Morskie w Gdyni. Żałować jednak należy, że J. Makowski względnie korektorka Maria Dubowikowa nie zna ta popularnego na Kaszubach Leona Roppla, nazywając go Leonem K o p p l e m i to w dwóch wypadkach.

Bardzo interesujący jest również krótki szkic Mariana Turwida o plastyku, który chociaż nie jest Pomorzaninem, to jednak całą swoją twórczość poświęcił Ziemi Pomorskiej. Szkic nosi tytuł: „Motyw pomorski w twórczości Tadeusza Mokrzyckiego". (b)

ORKA

W nr 5 tego chłopskiego tygodnika z 2 lutego br. znajdujemy notkę Andrzeja Zwardonia pt. „Augustyn Necel — dobry rybak i... pisarz". (b.)

CZAPKA

RÓŻA OSTROWSKA

Dokończenie z poprzedniego n-ru

— W czternaście godzin wasz graf dołżen... — graf musi wyjść — powiedział z wysiłkiem i znów pomógł sobie gestem, którym wskazuje się mebel przy przeprowadzce. Ruszył ku drzwiom, stukając obłoconymi buciskami, drobny i ruchliwy w szeleszczącym szynelu jak brązowy chrząszcz i nagle zatrzymał się przed wielką szafą. Zajmowała obszerny kąt pokoju, potężna, trójdrzwiowa, czarnosrebrna od pokrywających ją rzeźb. Podszedł bliżej, wyzwolił dłoń z brzydkiej rękawicy i przesunął nią delikatnie po matowej powierzchni drzewa.

— Wot czto... Isskustwo — przeciągnął głośno, nie wiadomo do kogo. Krokow patrzył na jego plecy. Szynel był zbyt wąski i marszczył się z boku i na karku. W tej jednej chwili, gdy znalazł w tym człowieku coś zrozumiałego, zapragnął raz jeszcze zwrócić na siebie uwagę, zmusić go do odpowiedzi.

— Czy mam to rozumieć jako nakaz wysiedlenia? Przez kogo wydany? — zapytał po polsku, sucho i sztywno.

W drzwiach obok Łyska pojawił się drugi brunatny szynel. Trzepnął się po piersi, sprężył na baczność. Znów zaśpiewała obca mowa. Wojskowy wysłuchał meldunku nie odwracając głowy. Potem poprawił zwisający u pasa automat i wyszedł. Łysk wysunął się za nim, zamykając drzwi.

Wielu ludzi schodziło teraz po schodach, ich okrzyki dolatywały aż tutaj. Wreszcie ucichły, po czym odezwały się na dziedzińcu, bledsze już i głuche. Zawarczał samochód. Potem nie było już nic słychać.

Graf von Krokow stał wciąż w tym samym miejscu, gdzie go porzucono.

Był już starym człowiekiem, ale jeszcze nigdy dotąd nie zaznał uczucia bezsilności. To było mocniejsze niż upokorzenie, mocniejsze niż gniew. Chciał wybiec za nimi, krzyczeć coś, — ale nie zrobił tego. Chciał wołać ludzi, którzy służyli mu posłusznie przez dziesiątki lat i spojrzeć w ich twarze, by odczytać tajemnicę tego, co dokonało się poza jego plecami, ale wiedział, że odeszli. Był sam i mógł walić głową o ścianę, mógł strzaskać szyby, łamać meble, kopać białe, nieruchome drzwi i tak nikt by nie przyszedł. Nie liczył się już.

Znów zobaczył przed sobą chmurną twarz chłopa, który stał przed chwilą na progu. Jak to się mogło stać, że ci dwaj przyszli razem ogłosić mu wyrok? Co ich połączyło w tych krótkich godzinach między świtem, a obecną chwilą?

Przez długie dni gromadził siły do walki. Ale teraz świat usuwał mu się spod nóg. A kiedy następuje trzęsienie ziemi, człowiek nie może walczyć, ani też bronić się, ani nienawidzieć. Musi szukać ratunku, żeby nie zginąć.

...Opuścić ten dom dziś jeszcze, jeszcze przed nocą...

Szarpiący ból chwycił go za serce. Przycisnął rękę do piersi. Oparła się na czymś twardym. Przypomniał sobie. Nacisnął jeszcze silniej. Nagła myśl pchnęła go z miejsca. Zaczął chodzić po pokoju wielkimi krokami.

Gdy ukazał się w drzwiach, wiodących na dziedziniec, słońce leżało już nisko na wzgórzach jak zgnieciona pomarańcza. Uderzył go chłód. Chciał nastawić kołnierz skórzanej kurty, ale nie zrobił tego. Spostrzegł, że nie jest sam.

Po bokach dziedzińca stali ludzie. Było ich dużo, a od zabudowań, czerwieniejących za drzewami, nadchodzili śpiesznie nowi i przystawali za plecami tamtych. Już go dostrzegli i twarze zwróciły się ku niemu, a nerwowy, bezładny gwar umilkł.

Krokow zatrzymał się u progu, oparty na ciężkiej dębowej lasce. Czerwony blask kładł mu się na twarz. Patrzył na tłum.

Najwięcej było kobiet. Okutane chustkami, które szarpał ostry wiatr, trzymały za ręce dzieci. Gęsto czerniały barankowe czapki z tyłu, grupkami i nie tak jawnie czekali na wyjście grafa, nie tak wyczekująco spoglądali ku niemu. Graf poznawał ludzi nie tylko ze wsi Krokowskiej, ale i z pobliskich Minkowic, Jedlina i Luzina. Ale nie widział nikogo ze służby dworskiej, ani jednego fornala, ani jednej dziewczyny. Ci, co uciekają w nocy, nie pokazują się za dnia.

— Po co tu przyszli? — myślał, przesuwając wzrok po twarzach, czerwonych od wiatru i zamkniętych. Musieli stać tu już od dawna i czekać. Widział zmarznięte policzki dzieci. Ocierały nosy rękawami i przestępowały z nogi na nogę. Widział nastawione kołnierze starych i kulące się kobiety.

Z tymi ludźmi żył na tej ziemi przez wiele lat. Przez wiele lat nic nie znaczyli w jego życiu poza tym, że byli od niego jakoś zależni. Mówili swoją obcą mu mową, której nie lubił i robili to, co trzeba było robić. Najczęściej nie zauważał ich i nigdy nie myślał o nich. Wiedział, że uważano go za dobrego dziedzica. Ale kilka lat temu, w pobliskim lesie, znaleziono trupa jego syna, gdy jechał na urlop do domu. Zwolniony po kontuzji na froncie, był wysokim urzędnikiem policji miasta Danzig. Bandyci nie mogą żyć zimą w lasach bez pomocy ludzi. Przez ostatnie lata graf nauczył się patrzeć w zamknięte twarze chłopów z zimną czujnością.

Dziś jeden z nich przyprowadził do jego domu żołnierza z gwiazdką. A teraz przyszli patrzeć, jak opuszcza zamek.

Mocno zacisnął rękę na główce laski. Pożegnał się już z domem. Czas naglił. A jednak jeszcze nie ruszał.

Ludzie stali cicho, jak przed wielką procesją. I wszystko było jak przed wielką procesją — szeroki szpaler wśród tłumu i jeden człowiek na stopniach, skupiający spojrzenia i kościelne barwy zachodu.

Graf von Krokow zeszedł powoli ze schodów ganku, wysoki, lekko pochylony, z odkrytą siwą, wąską głową. Z ramienia zwisała mu stara myśliwska torba. Nie była wypchana. Przeszedł kilka kroków, słychać było jak chrzęściły na przymarzniętym błocie. Stanął i odwrócił się. Raz jeszcze spojrzał na zamek, trzema żółtymi skrzydłami wtulony w drzewa.

I wtedy właśnie zaszlochała głośno kobieta. Stała tuż z brzegu, na głowie miała czarną chustkę, końcem jej zakryła twarz. Drugą ręką przytrzymywała przed sobą kręcącego się chłopca. Zapłakała i ucichła, pochyliwszy głowę.

Graf drgnął, odwrócił się, tłum poruszył się i zaszemrał. Ktoś cofnął się, cofnęli się inni i kobieta została jakby wypchnięta ze swoim chłopcem naprzeciw zbliżającego się dziedzica. Spłoszona, przyciągnęła syna i szybko zerwała mu z głowy wytartą czapkę.

Kroków spojrzał na wzniesione ku niemu, okrągłe i wystraszone niebieskie oczy malca, nawpół przykryte ciemną czupryną. Wyciągnął rękę i przygładził te zburzone przez matkę włosy. Przez chwilę trzymał dłoń nad głową chłopca, potem ją cofnął, sięgnął do kieszeni. Złoty krążek błysnął w palcach i miękko spadł do dziecinnej podartej czapki.

Kobieta znieruchomiała. Malec pociągnął nosem. Ktoś westchnął głośno. Tłum milczał.

Ostatni dziedzic Krokowa odchodził wolno ku fosie, zamkniętej klamrą mostu. Minął dwa stare działa, zrudziałymi lufami sterczące ku dalekim polom. Nie odwrócił się więcej.

* * *

Było bardzo gorąco i trzej chłopcy, którzy dopadli wreszcie olbrzymiego pola grochu, rzucili się na ziemię, nie mogąc złapać tchu. Ostatecznie mogli nie pędzić tak szybko, nikt ich nie gonił, ale mali chłopcy nie rozumują w ten sposób nawet w upalne lipcowe przedpołudnie. Mieli ogromną ochotę na słodki, cukrowy groch i oto teraz leżeli w zielonym morzu z zaplątanymi rękawami i nogami, z głowami ukrytymi w mdło pachnącej gęstwinie. Dysząc zrywali garściami ciepłe od słońca strąki, otwierali je jednym naciśnięciem palca i sypali prosto w usta soczyste ziarenka. Napychali strąkami kieszenie, napełniali garście, gubili zielone kulki w trawie, połykali je nawpół zgniecione chichocząc i mrucząc ze szczęścia. Mogli się tak nie śpieszyć, ale wszyscy trzej przez całe swoje krótkie życie nie zrywali takiego grochu inaczej, jak pod strachem.

Przyszło to im do głowy dopiero później.

Najpierw stoczyli jeszcze walkę, obrzucając się pustymi strąkami i strzelając z wilgotnych, twardych ziaren. Przy szamotaniu się najmłodszemu z trójki spadła z głowy nowa, jasnoszara czapka.

— Ty! — krzyknął do towarzysza, który złapał czapkę i rzucił dalej w zieloną gęstwinę — oddaj! pobrudzisz!

W jego głosie zadrżał lęk. Był to mały, chudy chłopiec, w którego okrągłych niebieskich oczach odbijały się co chwila inne uczucia. Wszystko, czego doznawał, zdawało się być w nich wypisane. Nazywał się Michał Łysk i zjadł napewno mniej grochu, niż jego koledzy, ponieważ w równym stopniu pochłaniała go sprawa czapki. Ostrożnie wyciągnął swój skarb z grochowej dżungli, obejrzał, strzepnął, otarł wystrzępionym łokciem urojoną plamkę i wcisnął czapkę na głowę.

Wszyscy trzej ułożyli się spokojnie w nagrzanej zieleni. Teraz dopiero czuli, jak mocno chwyta słońce.

— Michaś! Bo ci wypali dziurę w czapce! — zaczął ten, co zjadł najwięcej grochu, a teraz już nie mógł jeść, więc otwierał strąki i wysypywał zawartość do dołka, wygrzebanego w ziemi.

— I matka obiadu nie da! — pomagał drugi.

Michaś Łysk nie odpowiadał na zaczepki, choć czapka grzała niemożliwie. Pocił się w milczeniu, czując, jak po skroniach i za uszami spływają na szyję strużki wilgoci.

— Zazdroszczą — pomyślał.

Ale nie mógł jej zdjąć. Nie mógł rozstać się z nią ani na minutę. Przez tyle dni tęsknił do chwili, kiedy ją wreszcie włoży. Matka sama uszyła tę czapkę z pięknego szarego materiału. Była to właściwie stara spódnica chrzestnej, ale po upraniu kawałki wyglądały jak nowe. Michaś patrzył z kąta jak pod palcami matki układają się w upragniony kształt.

— Dawno trzeba ci już było nowej czapki — mówiła matka, wygładzając materiał na zgięciu. Michaś nie wiedział dlaczego się uśmiechała i patrzyła gdzieś w ścianę, jakby coś tam widziała.

Kiedy wieszała czapkę na gwoździu w szafie, powiedziała:

— Żebyś mi tylko nie ruszył! To na święto, a nie na wycieranie byle gdzie!

I zamknęła szafę na kłódkę, a Michaś zacisnął zęby, żeby się nie rozpłakać. Płakał bardzo rzadko, bo zbyt wiele musiałby w swoim życiu płakać, gdyby wcześnie nie nauczył się ukrywania żalu. Ale od tego dnia nie miał spokoju. Czekał odpowiedniej chwili.

Zdarzyła się właśnie dzisiaj. Matka leciała raniutko do roboty. Latała teraz jak szalona, nie mogąc nadążyć z ogrodem, polem, inwentarzem, z tym wszystkim, co się na nich sypnęło, jakby stał się jeden z tych cudów, o których opowiadał ksiądz proboszcz na kazaniach. W pośpiechu nie zamknęła szafy na kłódkę.

Teraz czapka wolno nasiąkała wilgocią, parząc ciężkim okładem głowę Michasia. Michaś leżał na brzuchu, brodę oparł na łokciach, podniósł brązowe pięty ku niebu. Bał się matki, ale był szczęśliwy.

Wystarczyło trochę unieść się ku górze, żeby zobaczyć cały świat dokoła. Wielkie, zielone pole grochu ucinało się gwałtownie w miejscu, gdzie wzgórze spływało w dolinę. Rósł tam gęsty zagajnik. Z miejsca, w którym leżeli, można było dostrzec jedynie czubki ciemnych świerków i srebrne wiechy brzóz.

— Ile jeszcze moglibyście zjeść? — zapytał chłopiec, który kopał dołek.

— Nie wiem — odpowiedział drugi.

Michaś zamyślił się.

— Za prędko jedliśmy — powiedział z żalem — żebyśmy jedli powoli, to bym jeszcze dużo zjadł.

— A twój tata nie krzyczałby na nas? — pytał dalej tamten.

— Nie — odparł Michaś stanowczo — tego grochu jest przecież tyle!

Wszystkim trzem wydało się naraz bardzo dziwne, że całe to wielkie pole należy teraz do ojca Michasia. Kiedyś chodził po tych polach nadzorca grafa i straszył chłopców dubeltówką. Jednemu z nich, temu, co ciągle o coś pytał, o mały włos nie wyrwał raz ucha, wyciągając go z grochu. Teraz to ucho było większe, tak przynajmniej twierdził chłopiec.

— O, patrzcie — wyciągał ku nim szare ucho. Wyglądało tak, jakby można było zasiać na nim groch — większe, co? — i pokazał drugie szare ucho. Nie patrzyli, znudzeni, widzieli to już sto razy.

— Dobrze, że grafa wyrzucili — z zaciętością powiedział gadatliwy chłopiec.

Michaś znowu zamyślił się. Te myśli były trudne i zagmatwane, tymbardziej, że pod czapką robiło się coraz bardziej gorąco i mokro. Przypomniał sobie dzień, kiedy stał z matką wśród wielu ludzi na dziedzińcu zamkowym. Pamiętał go jak przez mgłę, bo wtedy była jeszcze zima, a teraz panowało lato. Między zimą a latem dzieje się tyle rzeczy i mija tyle dni i to jest taki ogromny kawał czasu. Bardzo mu wtedy zmarzły nogi i nie rozumiał nic z tego, co się dzieje. Usłyszał szloch matki, a potem pierwszy raz zobaczył z bliska wielkiego grafa i prawie że usiadł ze strachu, bo graf położył mu rękę na głowie. Potem błysnął w powietrzu złoty krążek. A potem Michasiowi chciało się płakać, może dlatego, że stopy bolały tak bardzo, jakby miały odpaść.

Tamtego dnia wieczorem, już usypiając, słyszał Michaś jak matka coś krzyczała do ojca, a głos ojca dudnił gniewnie o ścianę. Parę razy dobiegło go słowo: graf.

Od tamtego czasu przypomniano mu je dwa razy. Raz, gdy przyszli ludzie, co mierzyli ziemię długimi kijami i ojciec chodził za nimi i patrzył im wciąż na ręce. I drugi raz, kiedy matka przyszła od sąsiadów i powiedziała:

— A nasz graf został. Jest zapastucha ugbura we Sławoszynie. Nie poszedł daleko — i spojrzała ze strachem na ojca. Ojciec nic nie odpowiedział, ojciec mówił bardzo rzadko. A Michasiowi wydało się to zupełnie niemożliwe. Wielki graf nie mógł być pastuchem. To wszystko było dawno i Michaś nigdy o tym nie myślał. Ale teraz przypomniał sobie, bo chciał coś odpowiedzieć koledze. Nie wiedział tylko, jak ułożyć to co czuł. Wychodziło na jedno: przez grafa działy się dla nich same dobre rzeczy i Michasia rozgniewały słowa tamtego.

— Et, gadasz — mruknął tylko. Zanurzył twarz w łaskocące listki. Wolał myśleć o czapce. Poprawił ją, zsuwając trochę z czoła.

Było bardzo cicho. Michaś słyszał, jak gdzieś bliziutko, uwięziona w trawie, bzyka mucha. Rozgarnął groch, chciał jej poszukać.

W tej chwili runął na nich ostry krzyk. Zdawało się, że spadł z nieba. Zerwali się jednocześnie. O parę kroków przed nimi, na granicy grochu i owsa wyrósł jak spod ziemi wielki, chudy człowiek z siwą brodą. Wyciągał ku nim gruby, długi kij i krzyczał ochryple.

Michaś skurczył się, przeszyty zimnym, dławiącym lękiem.

— Aaa! — wrzasnął kolega i rzucił się do ucieczki. Za nim wyskoczył drugi, jak zając zginając w skoku cienkie, żółte nogi. Michaś poderwał się, przytrzymując rękami czapkę, śmignął w bok i nagle runął na ziemię, zaplątany w gęstwinie grochu. Dźwignął się na kolana półprzytomny ze strachu i znieruchomiał.

Ogromny cień przesłonił mu słońce. Wielki człowiek już nie krzyczał. Stał tuż przed nim i patrzył na niego. Serce Michasia prawie nie biło. A jednak dostrzegał wszystko.

Człowiek miał żółtą, zapadniętą twarz i straszne, wiercące oczy. Jego wielki nos wyciągał się jak ostry dziób ku Michasiowi. Michaś patrzył na jego zniszczoną, skórzaną kurtkę, na dziwną torbę, zwisającą z ramienia, na olbrzymią laskę, na której opierał się teraz. Czyżby we śnie widział już kiedyś tego strasznego człowieka? Nie pamiętał, ale to było jeszcze straszniejsze, że go gdzieś widział.

Zęby mu dzwoniły. Klęczał skulony, z czapką nasuniętą na oczy.

Tamten patrzył. Blade zimne oczy kłuły Michasia, a na wąskich ustach usiadł dziwny uśmiechek. Naraz człowiek przemówił. Głos miał zachrypły, twardy.

— Czyje to pole? — zapytał, prawie nie otwierając ust, które rozciągały się w złym uśmiechu. Michaś drgnął, zęby zaszczękały głośniej.

— Taty — wyjąkał z wysiłkiem.

Człowiek gwałtownie wyciągnął laskę, uniósł nad głową i postąpił krok naprzód. Michaś zamknął oczy. Zdawało mu się, że leci w ogromny dół. Ale cios nie spadł.

— Czyje, czyje? — zasyczał mu nad głową szept, który nagle przeszedł w ochrypły wrzask:

— To grafa, grafa, grafa von Krokow! —

Grafa! Michaś otworzył oczy. Człowiek stał nad nim, mierząc laską prosto w niebo. Drugą rękę uniósł także w górę i zadarł głowę. Wyglądał jak nieruchomy jastrząb, który zaraz rzuci się w dół.

Na chwilę Michaś zapomniał o strachu, ogarnięty zdumieniem. Ale tamten spuścił głowę i znów spojrzał na niego. Niebieskie, wytrzeszczone oczy malca otwierały się i zamykały jak oczy schwytanego ptaka.

— Zdejm czapkę! — krzyknął brodacz. Michaś skulił się jeszcze bardziej, przycisnął ramiona do uszu.

— Czapkę zdejm, słyszysz? — ten krzyk rwał uszy, przerzynał głowę. Dygocąc podniósł Michaś powoli rękę, ale w tej samej chwili laska ze świstem przecięła powietrze. Dłoń zapiekła rwącym bólem. Czapka upadła pod nogi człowieka.

Oczy Michasia napłynęły łzami, gardło zdławił szloch. Przycisnął uderzone palce do ust.

— Czyje to pole? — krzyczał człowiek.

Michaś z trudem otworzył oczy, łzy sparzyły twarz. Nie patrzył już w górę, na tamtego, patrzył na czapkę. Leżała tak blisko. Nie mógł jej utracić. Niech go zbije ale niech mu odda czapkę.

Płakał głośno.

— No, mów: czyje to pole? — nalegał tamten. Już nie krzyczał, mówił prawie cicho, łagodnie.

I nagle Michaś zrozumiał o co chodzi strasznemu człowiekowi. Nie wiedział, jak to się stało, że zrozumiał.

— Grafa! — wyszlochał.

— Mów wyraźnie! To pole grafa von Krokow!

— To pole grafa von Krokow — krzyknął Michaś z płaczem, wyciągnął ręce ku czapce i cofnął je natychmiast.

Ostry koniec laski wbił szare sukno głęboko w trawę.

Michaś zamarł z rękami przy piersi.

(Dokończenie na str. 8)

BERNARD SYCHTA

SYMBOLIKA MARZEŃ SENNYCH

Wyjątek z pracy „Kultura Ludowa Kociewiaków"

SZTUKA tłumaczenia snów jest stara jak świat. Sen w strożytności był pośrednikiem pomiędzy siłami wyższymi a człowiekiem. Najczęściej był to głos bóstwa, który przemawiał we śnie do człowieka. Takie demony i różne ciemne moce mogły z człowiekiem obcować za pomocą snu.

Trzeźwy umysł człowieka współczesnego długo nie mógł tego zrozumieć. Zespół procesów psychicznych zachodzących podczas snu wydawał się czymś bez ładnym, groteskowym i nielogicznym. Tymczasem lud prosty nie pogardzał nigdy marzeniem sennym. On zrozumiał jego symboliczną mowę bez słów. W ludzie zawsze drzemało przekonanie o wyższości tego materiału psychicznego. Dopiero psychoanaliza czyli metoda psychoterapeutyczna leczenia rozmaitych nerwic i psychoz, zwróciła baczną uwagę na marzenia senne jako na posiadające charakter symboliczny. Istnieje jedynie różnica co do tłumaczenia snów przez lud a psychoanalizą. Podczas gdy lud chce koniecznie ze snu wyczytać przede wszystkim swą przyszłość, psychoanaliza nazywa sen spełnieniem naszych życzeń.

Przędziwo dla swych marzeń sennych, czerpie lud z mowy codziennej pełnej symbolów, pod którymi ukrywają się nieraz rozmaite czynniki, sytuacje, przedmioty i myśli. Jeszcze więcej, mniej lub bardziej ukrytej symboliki zawierają różne wierzenia, przesądy, obrzędy, bajki, pieśni i zagadki ludowe. I tę symbolikę odnajdujemy w marzeniach sennych ludu.

Szczególną uwagę zwracają Kociewiacy na sny o zwierzętach. Tak np. dziewczyna śniąca o czarnym psie mówi, że to chłopiec ją obmawia. Chłopiec śniący o czarnym psie mówi, że to dziewczyna go obmawia. Szczekający pies jest symbolem złego człowieka albo diabła, kot fałszywego człowieka.

Sen o koniach siwych lub kasztanowatych zapowiada list względnie gościa dawno nie widzianego, o karych koniach żałobę. Krowy należą do zwierząt, które wróżą nieszczęście, kozły szczęście. Ryby oznaczają bliski deszcz, węgorz w wodzie utratę kochanka.

Kura z kurczakami zapowiada pomnożenie rodziny, gęś z gąsiakami osierocenie. Jajka oznaczają plotki podobnie jak u Kaszubów i Borowiaków.

Wielką rolę w marzeniach sennych Kociewiaków odgrywa symbolika roślin. Jabłka, gruszki i sad mają znaczenie erotyczne. Zrywanie wiśni we śnie zapowiada płacz zgodnie z wierzeniem, że w roku, w którym obrodziły wiśnie, będzie dużo płaczu. Także kwiaty, jagody i rozsypujący się groch są symbolami łez.

Róża we śnie oznacza dzieci, podobnie jak róża w ślubnym bukiecie. Panna młoda z Kociewia idąc do ślubu bierze bowiem ze sobą tyle róż, ile pragnie mieć dzieci.

Kopanie ziemniaków symbolizuje przyszły grób, *zielona górka* cmentarz zarówno w mowie potocznej jak i w marzeniu sennym.

Zwiastunami śmierci są wypadające zęby. Jeśli wypadnie jeden z przednich zębów, zwłaszcza oczny, zwany także *serdecznym zambam*, umrze bardzo bliski krewny, jeśli zaś wypadnie któryś z trzonowych zębów, umrze ktoś dalszy z rodziny. To samo znaczenie posiada zawalająca się ściana domu. W myśl wierzeń ogólnopomorskich drzwi otwierające się same na jawie, zapowiadają gościa. W marzeniu sennym gościem tym bywa zazwyczaj śmierć. Pęknięty chleb wróży chorobę lub śmierć nie tylko we śnie, lecz także w życiu codziennym. Wchodzenie na górę daje śniącemu pewność długiego życia, schodzenie z góry na dół obwieszcza mu, że wnet umrze.

Istnieje na Kociewiu podobnie jak na Kaszubach i w Borach Tucholskich przekonanie, że wzajemne oglądanie sobie rąk lub zdejmowanie pierścionka z palca jest zapowiedzią śmierci, przypatrywanie się zaś nogom zapowiedzią wesela, ponieważ noga jest symbolem tańca. Te same symbole znachodzi się w marzeniach sennych.

Ogień i siwy dym wróżą radość, czarny dym smutek i żałobę. Woda w marzeniu sennym zapowiada urodzaj. Analogiczne znaczenie o charakterze magicznym ma woda przy obrzędach żniwnych na całym Pomorzu. Im więcej bowiem obleje się wodą żniwiarzy, tym lepszy będzie przyszłoroczny plon. Bardzo często tłumaczą wodę, zwłaszcza brudną jako zapowiedź płaczu.

Sny o zimie podczas lata względnie sny o lecie w porze zimowej są dobrą wróżbą.

Ciekawe jest znaczenie człowieka w marzeniu sennym. Tak np. dziewczęta boją się ujrzeć chłopca *w spsiku*, bo nie wyjdą za mąż. Mężatka śniąca o obcym mężczyźnie może się spodziewać kłótni ze swym mężem. Sen o dzieciach pięknych zapowiada radość, o dzieciach brzydkich i brudnych kłopot. Również na Kaszubach sny o dzieciach mają to samo znaczenie. Po śnie o trupach można liczyć się z deszczem. Trup we śnie z oznakami życia zapowiada miłą wizytę osoby długo nie widzianej. Po śnie o krwi czeka człowieka przyjemna niespodzianka.

Nie wszystkim jednak marzeniom sennym przypisują Kociewiacy znaczenie prorocze, telepatyczne, lecz zgodnie z psychoanalizą upatrują w nich także spełnienia swych ukrytych życzeń. Oto kilka przykładów. Oddanie pierścionka ślubnego oznacza zdradę małżeńską, utrata wianka — uwiedzenie, ukąszenie przez pszczołę defloracją. O dziewczynie, która zaszła w ciążę, mówią, iż ją *pszczoła ugryzła*. Buty i rękawice zarówno w marzeniu sennym jak i poza nim, są typowymi symbolami kobiety. Kociewiacy nazywają często starą pannę *starymi butami*. Niekiedy buty oznaczają podróż, nieraz bardzo daleką. Tak samo łyżka oznacza kobietę, a nóż mężczyznę tak we śnie jak w przesądach. Również słoma wyobraża kobietę, a kłos mężczyznę zwłaszcza z wąsami. I poza snem leżąca słoma na podłodze podobnie jak upadająca na ziemię łyżka zapowiadają odwiedziny kobiety, podczas gdy leżący na podłodze kłos i upadający nóż mówią o przyszłych odwiedzinach mężczyzn. Spodnie są symbolem wyższości męża wobec żony, spódnica symbolem uległości żony wobec męża. Zdarza się, że niekiedy żona „ubiera spodnie", a mąż „chodzić musi w spódnicy".

Takich przykładów z Kociewia, z których wiele powtarza się na obszarach sąsiednich regionów, można by przytoczyć mnóstwo. Szczególnie bogaty pod tym względem materiał zebrałem na Kaszubach.

KATEDRA W PELPLINIE

KATEDRA W PELPLINIE

Gotycka katedra w Pelplinie jest jednym z najcenniejszych zabytków architektonicznych na Pomorzu.

Budowę jej rozpoczęto w XIII wieku, za czasów panowania Mestwina, a ukończono w pierwszej połowie XIV wieku. Świątyni nadano kształt krzyża o ramionach długości 80 m i 25,8 m.

CHOJNICCY FILOMACI

(Dokończenie ze str. 5)

pochodnię olimpijską przekazywały sobie pokolenia uczniów chojnickiego gimnazjum, statut filomatów.

Nie znamy dokładnie historii pierwszych 30 lat istnienia chojnickiej organizacji filomackiej „Mickiewicz". Zapiski, które w jakiś sposób mówiły o filomatach, uległy zniszczeniu. Wiemy jedynie, że organizacja została założona w 1837 r. prawdopodobnie przez Floriana Ceynowę. Praca była cicha i skryta. Aby poznać pierwsze lata pracy filomatów, trzeba pilnie szukać w archiwach, trzeba pytać o nią wśród ludzi. Niektórzy z filomatów jeszcze żyją, jak np. Franciszek Welk — pracownik Wydziału Oświaty w Chojnicach.

Miarą ducha filomackiego w owej epoce może być postać dra Floriana Ceynowy, zasłużonego działacza kaszubskiego. Jako romantyk w szaleńczym zapale rzucił się w roku 1846 na Starogard Gdański, chcąc zeń wyprzeć Prusaków. Niestety, mała garstka szaleńców nie zdołała pokonać wroga — przedsięwzięcie się nie udało.

W szeregach filomatów działali późniejsi uczestnicy powstania styczniowego — Franciszek Bonin, Andrzej Borne, Kornel Lipiński, ks. Antoni Muchowski, Ignacy Przytarski, Ignacy Rogala i inni. Uczestnictwo w walce narodowej było niezmiernie niebezpieczne, ale uciekinierzy do powstania nie baczyli na to. Rzucali ojczyste okolice, dom rodzinny, łamali swą karierę życiową, aby tylko spełnić obowiązek wobec ojczyzny.

Tragicznie przedstawiają się ich dalsze losy. Kilku padło od kul Moskali i Prusaków. Jeden zmarł w szpitalu. Antoni Muchowski został zesłany na Sybir, skąd dopiero po kilku latach, o żebraczym kiju pieszo wrócił do kraju.

Po powstaniu styczniowym dzieje Koła „Mickiewicz" potoczyły się pomyślnie. Szczególnie dużo zasług na tym polu położył dr Hipolit Lniski. W jego mieszkaniu urządzano zebrania, tam też znajdowała się biblioteka. Podobnie zasłużył się sprawie dr Jan Karol Łukowicz.

Szczególnego znaczenia nabrała praca filomatów w okresie poprzedzającym powstanie Polski. W Chojnicach organizowano wówczas polskie przedstawienia sceniczne, obchody świąt narodowych itd.

W Polsce międzywojennej Koło Filomatów, przeszedłszy kilka kryzysów wewnętrznych, poświęciło się pracy literackiej. Członkowie pielęgnowali tradycje filomackie z czasów niewoli, a termin FILOMATA był zawsze jednoznaczny z terminem POLAK — PATRIOTA.

JÓZEF OSOWICKI

KASZUBKA Z PÓŁWYSPU

UWAGA!

Już wkrótce rozpoczniemy dyskusję o regionalizmie

- **Miejsce regionalizmu we współczesnym państwie**
- **Regiony i dzielnice**
- **Pojęcie regionalizmu**
- **Jak powinno pracować Zrzeszenie Kaszubskie**
- **Elitarna czy masowa organizacja**
- **Orientacje w ruchu kaszubskim**
- **Kwestia kaszubsko - pomorska**
- **Spór o pisownię**

— oto kilka z wielu zagadnień, które chcemy omówić w dyskusji. Serdecznie do niej zapraszamy tych wszystkich, którzy interesują się ruchem kaszubskim, lub biorą w nim bezpośredni udział.

● LISTY DO REDAKCJI ● LISTY DO REDAKCJI ●

Nauczyciel na Kaszubach powinien...

Jedną z podstawowych trosk Zrzeszenia jest, a w każdym razie winno być zapewnienie minimum wiadomości o swoim regionie. Jak dotąd, nie jest z tą wiedzą najlepiej pomimo, że do kół Zrzeszenia garnie się coraz więcej młodzieży. Nasze pismo winno się walnie przyczynić do zdobycia niezbędnej wiedzy o regionie, o jego przeszłości i dzisiejszych potrzebach.

Nie można przecież stwierdzić, że z chwilą zniknięcia brygad SP i odrodzenia się drużyn i obozów harcerskich, że z chwilą zreformowania programów nauczania w szkołach średnich, nie będzie już młodzieży nie mającej pojęcia o historii swojej ziemi. Dla przykładu pozwolę sobie wymienić Liceum Ogólnokształcące w Kartuzach, noszące imię Derdowskiego. Szkoła ta nie poświęciła dotąd ani jednego wieczoru temu wielkiemu poecie kaszubskiemu. Nawet dziś, po głośnych uroczystościach we Wielu niewiele uczniów potrafi coś powiedzieć o Jaroszu.

Sądzę, że trzeba zabrać się do popularyzowania historii Kaszub przede wszystkim wśród nauczycieli. Dużo obecnie mówi się o autorytecie nauczyciela. Sądzę że, ten autorytet podniesie przede wszystkim obszerna wiedza. Zaliczam do niej także wiadomości z historii, literatury i etnografii regionu, w którym nauczyciel żyje i pracuje. Wydaje mi się, że nie można wybaczyć młodym Kaszubom tego, że czytali o koncercie Jankiela, a nic nie wiedzą o Wicku Rogali.

JAN OSTOJA
Kartuzy

Morzo, nadmorze i „Bryza"

Szanowny Panie Redaktorze!

O powstaniu szczecińskiej grupy literackiej „Bryza" słyszałem dużo wcześniej przed ukazaniem się jej programu w „Kaszëbach". Znam również wszystkie osoby podpisane pod tym manifestem. Skłania mnie to do zabrania głosu o wspomnianej grupie.

Naczelnym zawołaniem członków „Bryzy" jest postanowienie związania twórczości z morzem i nadmorzem. O ile określenie „nadmorze", kojarzy się z czymś bardzo rozległym i pozwala twórcy w odnajdywaniu wciąż nowej tematyki, o tyle rzeczownik „morze", łączy się z naszą ubogą poezją i literaturą morską. Zadaję sobie pytanie, czy młodzi „bryzowianie" wzbogacą ją? Obawiam się tylko jednego: pisać o morzu, znaczy — to morze znać. Z Wałów Chrobrego w Szczecinie widać Odrę, a w głębi portu kilka bander na obcych statkach. Latem zaś można oglądać morze w... Międzyzdrojach. Ażeby jednak tworzyć prawdziwą poezję marynistyczną — trzeba znać morze, trzeba przemoknąć do suchej nitki jego słoną wodą.

Uważam więc, że zbyt ryzykowny dług zaciągają u swych czytelników sympatyczni i zdolni „bryzowianie", i że rezygnacja z hasła „piszemy o morzu" na korzyść twórczości grawitującej wokół wszystkich pozostałych postanowień zawartych w programie „Bryzy" może wyjść na dobre jej członkom.

A twórczość marynistyczna? No cóż... Conrad-Korzeniowski długie lata był majtkiem okrętowym, zanim napisał pierwszą książkę. Pozostaje mi więc życzyć wszystkim z „Bryzy" wiele wytrwałości.

BOLESŁAW GRODZICKI
Szczecin

Piekielnô wóda

Panie redaktorze!

A jednak dôwnij pilë tële piekielni wodë co dzisô!
(Wegrôł liter kornusu). Udowodnił to sam p. Redaktor w tym samym numerze „Kaszëb" na str. 2 (nr 2/9 w notatce „Wódka w Jastarni"). Bo 12 litrów na rok, to akurat jeden litr kornusu na miesiąc, czyli kwatereczka na tydzień. Czy to zaś aż tak wiele? Wypada mały kieliszek dziennie! A przecież na Bałtyku jest zimno!

Serdecznie pozdrawiam K. WALTER
Szczecin

STASZKÓW JAN
Rys. WIESŁAW DEMBSKI

Drëch miôł szczescé: sputnik drëdzi odzëwiélca nazód przëwlékł; wsôdł Walôszk na ambus z złoscą i na księżëc pognôł prosto...

Rwie jesz godzin sédemnôsce — księżëc w oczach wiôldzi rosce — a ciéj naróz wezdrzôł na dół, wnet bë w górę zadzôł banią...

Bëlny ambus chce zascignąc — wedle uszy wiatrë gwiżdżą. — ale biés z nim daléj nëkô nad miesąca zemią dzëką...

Corôz większé përdëgónë — widzi nawet nos od górë. — a ciéj wnëkôł w „sztrefę cemną" są odżegnôł z naszą zemią...

CZAPKA

(Dokończenie ze str. 6)

Człowiek śmiał się. Stał, odrzuciwszy głowę do tyłu, jakby ogromnie ubawiony i śmiał się chrypliwym śmiechem. Ten śmiech rozlewał się na całe pole, wypełniał cały świat. W tym śmiechu nie było ratunku.

Gruba laska wciskała czapkę coraz głębiej.

— Moja czapka! Proszę pana, moja czapka! — jęknął Michaś, ogarnięty bólem i przerażeniem.

Śmiech urwał się. Człowiek pochylił się nagle nisko, wbił oczy w rozedrganą, mokrą od łez malutką twarz.

— Precz — powiedział bardzo powoli i bardzo cicho. Od tego słowa spłynął na Michasia lodowaty chłód, objął szyję, dobiegł do serca.

Michaś cofnął się i zaczął posuwać się na kolanach w tył, wolno kawałek, za kawałkiem.

Człowiek stał pochylony i patrzył za nim. Michaś czołgał się, rozszarpując stopami splątany groch, nie spuszczając wzroku z twarzy człowieka. Wiedział, że musi się czołgać, ale brakowało mu już sił i z całej mocy zacisnął zęby, żeby nie krzyczeć. Twarz, czoło i usta miał ścięte lodem.

Nagle natrafił stopą na gładką, miękką trawę. Odepchnął się rękami, szarnął do tyłu. Był na miedzy. Zerwał się. Teraz coś w nim pękło, krzyknął cienko, rozdzierająco i z tym krzykiem pomknął jak strzała przez owies ku dolinie.

Wysoki, chudy brodacz wyprostował się. Śmiech znów triumfująco uderzył w niebo, blade i przezroczyste. Do stóp człowieka kładło się wielkie, zielone pole grochu, falujące w słońcu i wietrze. Człowiek wyszarpnął laskę z ziemi, podniósł do góry i stał, wpatrzony w przebitą na wylot szarą, okrągłą czapkę.

Wędrówka korespondencji

W książce „Informacja matematyczna rozumnie ciekawego Polaka" podaje X. Bystrzonowski dane dotyczące poczty ówczesnej.

Wiadomo, że transport korespondencji odbywał się wówczas rozstawnymi końmi. Otóż do Lublina szły listy: z Rzymu — 36 dni, z Neapolu — 33 dni, z Wenecji — 30 dni, z Ziemi Szwajcarskiej — 25 dni, z Ziemi Duńskiej — 23, z Holandii — 16, z Wiednia — 15, z Wrocławia — 10, z Poznania — 10, z Gdańska — 9, z Krakowa — 8, z Warszawy — 4, z Zamościa — 1 dzień.

„SPUTNIKOWE MARZENIA"

Tak, to „sputnikowe marzenia" zespołu naszego pisma. Żeby tak trochę „detków" się znalazło i można by było przejść na tygodnik... Ale cóż? Żyjemy na ziemi...

ZEBRANIE NAUKOWCÓW

Staraniem Towarzystwa Łączności z Wychodźctwem „Polonia" odbyło się w Warszawie zebranie naukowców zajmujących się problematyką emigracji polskiej. Zebrani postanowili prowadzić prace nad obecnym rozmieszczeniem skupisk naszej emigracji i ich charakterystyką. Postanowiono gromadzić materiały dotyczące środowisk emigracyjnych jak i wybitnych jednostek pochodzenia polskiego. Postanowiono również nawiązać współpracę z polskimi instytutami naukowymi za granicą.

KASZËBË ORGAN ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA KASZUBSKIEGO

Redaguje zespół w składzie: Tadeusz Bolduan (red. nacz.), Irena Piotrowska i Jan Kiedrowski (sekretarz red.).

Adres redakcji i administracji: Gdańsk, Targ Drzewny 3-7 I p. Tel. centrala 350-41, wewnętrzny 41.

Warunki prenumeraty: miesięcznie — 4 zł, kwartalnie 12 zł, półrocznie 24 zł, rocznie 48 zł.

Prenumeratę przyjmują listonosze, placówki pocztowe i oddziały „Ruchu" w terminie do dnia 15 każdego miesiąca na następny okres prenumeraty. Wpłaty indywidualne na wysyłkę pod opaską przyjmuje PUPiK „Ruch" Gdańsk, ul. Tkacka 9—10, konto PKO 52-6-141.

GZGraf. zam. 300 — 5500.—F-3

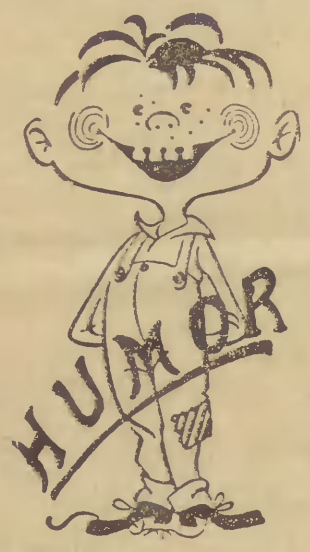

Doktôr i weteriniôrz

Jednego razu do doktora przëszedł weteriniôrz, by sę dowiedzec, co mu dolégô. Doktor zaczął opukiwac swojigo pacjenta i zadôwôł mu przë tim rozmaité pitania. Weteriniôrz na nick nie chcôł jednak odpowiôdac. Zniecerplëwiony doktor zawołôł:

— Czy wë môcë uszë zatkané, że nie czéjece mojégo pitani?

— Nié drëchu — odpowiedzôł weteriniôrz. — Ale ciédë jô przé chodzę léczëc swojich pacjentów, to jich so nie pitóm na co oni chorzëją. Sóm, bez jich gôdczi so dowiém, co jima dolégô.

Adamowe żebro i medicina

Dwóch drëchów spiérało sę rôz o to, co je starszy: prawo czy medicina. Ciédë ni mogli sę dogôdac, udali sę do księdza, bë ten rozstrzignął ich spór. Ksądz chwilkę pomedytowôł i przëznôł prôwdę temu, chtëren so upiérôł, że starszy je prawo.

— Ciédë Kain zabił Abla, to tam ju bëło potrzébny prawo — rzekł ksądz.

Drëdzi drëch pokrącôł banią i odrzekł:

— Ale ciédë Pan Bóg wëjął Adamowi żebro, bë stworzec Jéwę, to tédë ju bëła potrzebnô medicina.

Co rzecze moja brutka?

Do kliniczé w Gdańsku przëszedł rôz pacjent aż z Pomieczyna. Bël to młody wszón, chternemu so wcąg zdôwało, że musi bëc na cos chory. Doktorze go zbadalë ale nick nie znalezlë, co bë so dało uznac za oznakę chorobë. Ale potem nadeszedł jesz jeden szpitalny flészer, chtëren so zarô zmiarkowôł, w jaczim grónku gwiżdże.

— Takô choroba jakô je u was, biwô u ledzi, chterni za dwadzescë pięc lat mają umrzec.

Zasmucôł so nasz knôp na to, ale wnetk odrzekł spokojnie:

— To będę muszôł jeż dwadzescë pięc lat leżec w szpitalu. Co na to rzecze moja brutka, bo jô ji obiecôł, że na drëdzi rok so z nią ożenię.

A. N.

DROBNE OGŁOSZENIE

Potrzebna kobieta uczciwa, najchętniej emerytka, do dwojga osób u lekarza. Dzionara, Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Chorowieckiego 2.

Aleksander Majkowski

Moja Hanka

Haneczka mô główkę, jak swiętô z obrazu,
Pëzôczk, bë całowac chcôł rôz le po razu,
A të jij dwie rączci, to cudne grabelci,
Wëgrabi ce z nimi z duszeczci mir wszelci.
O Hanko, zagrabłas biednégo mnie chłopca,
Jak kłosë do snopa, jak sano do kopca.

Spod włosów jij oczë, jak z zbożô modrôci,
A uszko, jak z trôwe konwalii lëst bôczy,
I wiedno w to uszko bë gadac sę chcało
Miluchné słóweczka, bë leno słuchało.
Oj, Hanko, spowiedzë të mojij słuchała
A czężkąs mie, dzéwko, pokutę zadała.

A Hanka tak żëwô, jak na wierzbie pszczółka,
Czë skoczëc do tuńca, czë biec do koscółka,
Pôcórci w jij palcach jak żewe sę spieszą
I zdrowas z zdrowaską w różany wińc rzeszą,
O Hanko, dóm na mszę i sztëre zdrowasci,
Bëm nalôzł u cebie choc drobinkę łasci.

Ciéj Matka Nôswiétszô do, że mdzesz ju moją,
Téj chałupę niechże mnie zelem wëstroją,
I mdzema zëc w grëpie do lôtku stôrëszków,
Jak dwojók zrobiony z dwóch równëch gôrnëszków,
Jak dwa te warkocze u jasnyj twyj główci,
I jak dwie na jednyj łodedze makówci.

(1905)

Nowa gwiazda śpiewacza Polonii Amerykańskiej

Stale wzrastającą popularnością cieszy się w Stanach Zjednoczonych wybitna śpiewaczka polska z Chicago, Anda Kuczak. Rozpoczęła ona karierę śpiewaczą w Nowym Yorku, gdzie ukończyła również „American Academy of Dramatic Art". Zyskała szybko rozgłos i występowała na wielu scenach operowych w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie w towarzystwie takich wybitnych artystów Metropolitan Opera jak Baccaloni i Singher oraz z dyrygentami tej miary co Fritz Busch, Paul Breisach, Cooper i Pelletier. Obdarzona pięknym głosem, łączy wysoką kulturę muzyczną z wielkim talentem scenicznym. Fachowcy rokują młodej Polce świetną przyszłość.

Macej Wanoga pisze nowô ksążka!

Macej Wanoga zabôczël o „Kaszëbach" i nie dôł nic do numeru. Nie dziwujemë sę, bo Macej pisze ksążkę fantastycznô o atomach i sputnikach... A żebe go sputnik...!

Dodë KASZËBSCIJ OBËCZAJNOSCË

ANTON KLEBA Z PUCKA: „Od czasu do czasu zaglądam do kawiarni i zamawiam kawę. Dają w szklankach. Jest tak gorąca, że pewnego razu puściłem szklankę na ziemię i wstydu się najadłem. Co mam robić?

Proponujemy częściej uczęszczać do kawiarni, a z czasem palce przyzwyczają się do gorącej szklanki z kawą. Propozycja chwytania szklanki przez chusteczkę (czy czystą?) jest niesłuszna. Narobi Pan sobie jeszcze więcej wstydu.

KASZEBA Z BARKOCZYNA: „Często odwiedzam sąsiadów. Żonę zostawiam w domu. Żona płacze, że zawsze jest sama i mówi, że też ma prawo odwiedzić sąsiadów. Co Pan Gola na to?"

Pan Gola jest zawsze po stronie kobiet. Mniejsza o wartość tego rodzaju ludzkiego, ale samotnej kobiecie w domu się dłuży. Przecież i żona ma prawo do życia towarzyskiego! Lepiej „ćwiartka" i w domu niż „pół litra" i u sąsiadów.

GOLA